Zet
sztuka kultura sprawy społeczne

DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

ROK II NR. 15 (39) WARSZAWA, DNIA 1 LISTOPADA 1933 R. CENA 50 GR.

Sejm i Senat

Odrzucenie błędnych interpretacyj.

Wroński poświęca w swej „Metapolityce" najwięcej miejsca określeniu atrybucyj władzy wykonawczej, ponieważ w tej dziedzinie następstwa haseł rewolucji francuskiej spowodowały największe pomieszanie pojęć. Budowę i atrybucje władzy ustawodawczej (parlamentu) omawia znacznie krócej, ponieważ nie są one tak skomplikowane: zresztą długoletnia supremacja „demokracji parlamentarnej" w życiu publicznem, sprawiła, że mechanizm parlamentarny był szeroko dyskutowany i jest wszystkim dostatecznie znany.

Ważnem jest jednakowoż, wskutek nadużyć ustrojowych wynikłych z fałszywie pojętej suwerenności ludu, wyznaczyć dokładnie istotę, genezę i atrybucje ciała ustawodawczego, aby usunąć dowolność interpretacyj jego roli w państwie, dowolność panującą dotąd powszechnie.

Trzeba tedy stwierdzić odrazu na wstępie, że:

1) parlament nie jest reprezentacją narodu wobec zwierzchnika;

2) parlament nie jest wyłączną emanacją suwerenności ludu (zwierzchności ludzkiej);

3) parlament nie może mieć przewagi nad władzą wykonawczą, jeśli równowaga ustrojowa państwa nie ma być całkowicie zwichnięta;

4) parlament nie może być nigdy źródłem władzy.

Uzasadnienie powyższego jest następujące:

ad 1) Najwyższym przedstawicielem narodu jest zwierzchnik, a nie parlament. Zwierzchnik jest również najwyższym w państwie przedstawicielem praw moralnych (Boga). Reprezentuje on w ten sposób *prawo boże* wobec narodu, a *prawo ludzkie* wobec Boga. To Janusowe oblicze zwierzchnika jest połączeniem dwu zasad w jednej osobie, koniecznem dla wprowadzenia jedności w cały szeroko rozgałęziony systemat ustrojowy państwa. Jest to zresztą zupełnie jasnem, gdy sobie uprzytomnimy, że jest on uosobieniem *praw moralnych*, będących elementem podstawowym państwa i określających zarówno stosunek władzy do obywateli, jak obywateli do władzy.

ad 2) Parlament ma w sobie zarówno element zwierzchności ludzkiej (Sejm, Izba Niższa), jak element zwierzchności bożej (Senat, Izba Wyższa), nie może więc siłą rzeczy być wyłącznym wyrazem suwerenności ludu. Tam gdzie interpretuje się rolę parlamentu w podobny sposób. Senat staje się czemś niepotrzebnem, „maszyną nieużyteczną i kłopotliwą".

ad 3) Ponieważ władza wykonawcza jest bezpośrednią emanacją autorytetu transcendentnego praw moralnych (= zwierzchnika), zaś parlament ich emanacją pośrednią, ponieważ władza wykonawcza jest w państwie wyrazem czynnika stałego (władzy samej w sobie), zaś parlament wyrazem czynnika zmiennego (uczestnictwa obywateli we władzy) — przerost wpływów ciała ustawodawczego ponad władzę wykonawczą byłby czemś absurdalnem i szkodliwem.

ad 4) Źródłem władzy w państwie jest transcendentny autorytet praw moralnych. Ponieważ parlament jest tylko jedną z wielu emanacyj władzy zwierzchnika, mającej swe źródło w powyższym czynniku nadprzyrodzonym, twierdzenie, że parlament jest źródłem władzy, byłoby pozbawione jakiegokolwiek sensu.

Czem jest parlament?

Państwo jest dla ludzi, a nie odwrotnie, toteż dzisiejsza tendencja do podeptania praw jednostki, do jej całkowitego zniwelowania na rzecz państwa, jest przerażającym zamachem na sam cel tego zrzeszenia prawnego, w jego związku z ogólną celowością historji. Autorytet transcendentny praw moralnych dominuje w państwie nie poto, by prawo boże deptało święte prawa człowieka, lecz by stanowić właśnie najwyższą gwarancję tego, co jest w nas człowieczeństwem i co odróżnia nas od zwierząt. Przecież nosimy prawa moralne w samych sobie, jako trwały fundament naszej wielkości i godności ludzkiej. Widome uosobienie tych praw w zwierzchniku, potrzebne jest poto, by ludzie nie zapomnieli pośród zamętu historji o tym najwyższym substracie człowieczeństwa i mieli go wciąż przed oczyma. Ale celem państwa jest — jak już widzieliśmy — stopniowe przenoszenie tej zasady transcendentnej w dusze obywateli, tak aby przymus zewnętrzny praw moralnych (reprezentowany przez zwierzchnika) stał się wreszcie niepotrzebny, gdyż zastąpi go *wewnętrzny nakaz obowiązku*, będący podstawą wolności, a wyrazem dojrzałości obywatelskiej. Mówiliśmy wszak już na wstępie, że u szczytu ewolucji społeczeństwa (której najdoskonalszem narzędziem jest państwo) prawo zwierzchnika do przymusu zmaleć ma do zera, zaś prawo obywateli do wolności stanie się wielkością absolutną.

Skoro więc państwo istnieje poto, aby *idea sprawiedliwości* została niejako przeniesiona z nieba na ziemię, t. j. aby prawa moralne narzucone do pewnego stopnia ludziom przez siłę nadprzyrodzoną, stały się panującemi powszechnie w stosunkach społecznych — najwyższym jego celem jest właśnie wyemancypowanie się obywateli, zapomocą ich wciąż wzrastającej dojrzałości politycznej (= moralnej).

Gdzież jednak byłby w ustroju barometr tego ciśnienia dojrzałości politycznej obywateli na element władzy, gdyby nie było w nim instytucji, w której dojrzałość ta znajdowałaby pole do swobodnej gry sił i d[illegible] legitymowania swej zdolności do uczestn[illegible]twa we władzy. Jest tedy oczywistem, że parlament, będący takim właśnie barometrem w ustroju państwa, jest tego ustroju częścią składową a priori, bo genetycznie związaną z samem istnieniem i celem państwa. Toteż współczesne tendencje do zniesienia parlamentu są zwykłym uczuciowym odruchem rozczarowania do tej instytucji, skompromitowanej przez zasadę „suwerenności ludu", i z punktu widzenia filozofji państwa są zupełnie pozbawione sensu.

Wykazaliśmy już uprzednio, że największe etapy rozwoju dojrzałości politycznej obywateli, to epoka grecko - rzymska, gdzie nastąpił wyraźny rozwój *rozumu praktycznego*, wyrażający się w idei obowiązku i poświęcenia dla dobra publicznego, oraz epoka nowożytna (od reformacji do rewolucji francuskiej), w której rozwinął się *rozum spekulatywny* (idea wolności myśli, rozkwit nauk). W tych też epokach ciało ustawodawcze poczyniło największe postępy, stając się ważnym czynnikiem ustrojowym. W Rzymie n. p. widzimy dokładną antycypację nowoczesnego parlamentu, z podziałem na Izbę wyższą i Izbę niższą (patrycjat i plebejat). W epoce nowożytnej w Anglji wysublimowują się w parlamencie nowoczesne czynniki gry sił społecznych (na terenie parlamentarnym) w postaci stronnictw: zachowawczego i postępowego, prawicy i lewicy (Whigów i Torysów). Dowodem ogromnego wzrostu uprawnień ciała ustawodawczego w epoce nowożytnej jest fakt powstania *rządów konstytucyjnych*, a następnie fakt zuchwałego sięgnięcia po najwyższą władzę w państwie, jak to miało miejsce w rewolucji francuskiej.

Sposób udziału zwierzchności ludzkiej w zwierzchności bożej, czyli tryb przejawiania się dojrzałości politycznej obywateli, ukazuje nam wyraźnie sama nazwa parlamentu: ciało *ustawodawcze*. Oznacza ona zdolność obywateli do samodzielnej dyskusji o ustawach, na których gruntuje się porządek prawny w państwie; jest to dowód, że rozum spekulatywny rozwinął się już w ludziach na tyle, że mogą oni w sposób wolny, na platformie intelektualnej, oceniać pożyteczność, wartość i zakres danej ustawy, odrzucać ją lub uchwalać. Słusznie więc, przyrównując ciała prawne w państwie do naczelnych władz psychologicznych człowieka, rozumu, woli i władzy sądzenia, uznaliśmy parlament za emanację pierwszej z tych władz: rozumu.

Gra stronnictw.

Jeżeli obywatele państwa mają w sobie—potencjalnie — zdolność do przejęcia na siebie kiedyś całkowicie tej roli, jaką dziś pełni zwierzchnik, reprezentujący autorytet transcendentny praw moralnych, to w parlamencie, jako wyrazie ich samorzutności politycznej, powinno się przejawić, przynajmniej w odbiciu, wszystko to, co jest treścią i formą tych praw moralnych. Otóż treścią ich jest idea sprawiedliwości, formą zaś *ustosunkowanie wzajemne pomiędzy prawem ludzkiem, a prawem bożem*, t. j. pomiędzy wolnością a przymusem; obydwie one, treść i forma, są w parlamencie reprezentowane, jak to zobaczymy poniżej.

Idea sprawiedliwości, w jej zasadzie metafizycznej, polega na wolnem posłuszeństwie prawom moralności, t. j. na takim ustroju wszechświata, w którym cele Boga (= moralności) nie są ludziom narzucane przez przymus, lecz dobrowolnie przez nich przyjmowane i realizowane. Idea ta, w swym rozwoju historycznym, polega na przejściu od *zewnętrznych przykazań Bożych*, którym jesteśmy posłuszni ze strachu, lub w trosce o życie wieczne — do *wewnętrznych nakazów obowiązku*, t. j. do postępowej emancypacji ludzi z pod opieki sił nadprzyrodzonych. Parlament ma w sobie tę ideę, bo jest on przecież swobodnem ujściem dojrzałości politycznej obywateli, przejmujących na siebie coraz wszechstronniej opiekę nad ładem moralnym, a więc nad sprawiedliwością, tym celem państwa.

Ustosunkowanie wzajemne pomiędzy prawem ludzkiem a prawem bożem widzimy w parlamencie w postaci wolnej gry stronnictw, która da się w zasadzie sprowadzić do dwu biegunów: prawicy (stronnictwa prawa bożego) i lewicy (stronnictwa prawa ludzkiego). Mamy więc w parlamencie jakby powtórzenie w miniaturze tej chwiejnej równowagi, lub antynomji (otwartej walki) pomiędzy zwierzchnością ludzką a zwierzchnością bożą, panującej w całym świecie, będącej podstawą państwa i czynnikiem dynamicznym jego rozwoju.

Gra stronnictw da się streścić w schemacie następującym:

1) lewica dąży do zagórowania nad prawicą lub odwrotnie (zjawisko stałe);

2) pomiędzy lewicą i prawicą powstaje słaby czynnik neutralny, centrum (stronnictwo słusznego środka „juste milieu"), na którym usiłuje się oprzeć rząd, gdy zdoła wyzwolić się od wpływu prawych i lewych partyj i dąży do wytworzenia stałego ośrodka (zjawisko przejściowe);

3) centrum wyrzutowuje z siebie centrum prawe, ze skłonnością do rządów despotycznych, oraz centrum lewe, ze skłonnością do radykalizmu i anarchji;

4) lewica i prawica dążą do odzyskania władzy, a wówczas rząd przy pomocy centrum rozpoczyna system ucisku tych skrajnych stronnictw;

5) lewica i prawica łączą się dla zniszczenia bloku centrowego.

Dalszy rozwój wypadków kończy się zazwyczaj obaleniem centrum przez połączone: prawicę i lewicę, które wówczas znowu się rozszczepiają i gra zaczyna się na nowo (patrz „Metapolityka").

Zdaniem Wrońskiego wyjście z tej ślepej ulicy może być tylko jedno, a mianowicie, gdy ludzkość zrozumie beznadziejność i niszczącą szkodliwość tej gry i dźwignie się ponad nią, stwarzając nowy system rządów, t. zw. rządy antynomjalne. Ale do tego koniecznem jest ustanowienie czwartego ciała prawnego w ustroju państwa, Ciała Kierowniczego.

Sejm i Senat.

O ile ciało wykonawcze reprezentuje raczej element zwierzchności bożej, o tyle ciało ustawodawcze jest wyrazem dążności autonomicznych elementu zwierzchności ludzkiej. Ponieważ jednak państwo jako całość jest systemem równowagi pomiędzy temi dwu zasadami, więc i każda jego część składowa powinna być odbiciem takiego układu. Widzieliśmy już, że ciało wykonawcze czyni zadość temu wymaganiu, gdy odpowiedzialność ministrów i rady państwa przed narodem równoważy w niem do pewnego stopnia przemożny wpływ czynnika zwierzchności bożej. Taki sam równoważnik zwierzchności ludzkiej spotykamy w parlamencie: jest nim Senat.

Izba niższa reprezentuje więc w parlamencie prawo ludzkie obywateli państwa do uczestnictwa we władzy, przez kontrolę ustawodawczą i przez hamowanie nadmiernych wpływów ciała wykonawczego, w razie gdyby uzurpowało ono sobie prawo do wyłącznej decyzji o losach państwa, z pominięciem woli narodu; powołana jest do krytyki tych aktów władzy, które uważa za błędne i szkodliwe. Czuwa też ona nad respektowaniem przez władzę praw publicznych, przez konstytucję zagwarantowanych. Izba wyższa ogranicza naturalne tendencje Izby niższej do rozszerzania zwierzchności ludzkiej poza orbitę rozwiniętej już dojrzałości politycznej obywateli. Ocenia ona ustawy dyskutowane, uchwalone przez Izbę niższą, pod kątem zachowania należytej proporcji pomiędzy prawem ludzkiem, a prawem bożem i czuwa nad tem, by do ustroju prawnego państwa nie przedostało się nic, coby naruszało autorytet transcendentny praw moralnych i władzy zwierzchnika.

Jest oczywistem, że nie należy utożsamiać tej funkcji Izby wyższej z funkcją ochrony interesów państwa i zachowywania jego dotychczasowych podstaw prawnych przez przeciwstawianie się dążnościom postępowym Izby niższej. Senat nie ma być wyrazem jakichś tendencyj konserwatywnych, gdyż cały parlament, jako taki (a więc obydwie izby) jest narzędziem rozszerzania istniejącego porządku prawnego, a nie utrzymywania status quo ante. Teoretycy ustroju, którzy przyznawali Izbie wyższej tego rodzaju atrybucje, popełniali grubą omyłkę. Rola jakiegoś hamulca ustrojowego nie byłaby godną Senatu i czyniłaby zeń ciało raczej szkodliwe niż pożyteczne. Przypuśćmy bowiem, że dobro państwa wymagałoby właśnie radykalnie rozszerzenia i przetworzenia jego podstawy prawnej, jak to ma miejsce obecnie, gdy wyłączna suwerenność ludu okazuje się zamachem na samą ideę państwa i staje się nieodzownem dołączenie do niej drugiego i to ważniejszego elementu władzy, mianowicie zasady zwierzchności bożej. Gdyby Senat był tym hamulcem, za jaki go chcą uważać niektórzy, nie dopuszczałby on do tak zbawiennej reformy, trzymając się uporczywie norm dotychczasowych.

Jest więc Senat czemś znacznie głębiej związanem z rdzenną istotą państwa, jest stróżem wiecznej i niewzruszonej powagi praw moralnych na terenie parlamentarnym, tak łatwo stającym się areną najdzikszych nadużyć politycznych, popełnianych na tle fałszywie pojętej wolności obywatelskiej i równości demokratycznej.

System wyborów do Sejmu i Senatu wiąże się u Wrońskiego ściśle z nowoczesnym problemem elity. Ponieważ parlament jest emanacją wzrastającej dojrzałości politycznej obywateli, automatyczna, ilościowa zasada wyboru nie może tu mieć miejsca. Byłoby to właśnie fałszywem pojęciem równości demokratycznej, zamykającem drogę do postępu, bo traktującem jednakowo obywateli świadomych, zdolnych do poświęcenia i poczucia odpowiedzialności za państwo — i obywateli biernych, obojętnych, nietwórczych. Chodzi przecież właśnie o wysublimowanie stopniowe jaknajwyższej etyki obywatelskiej, o pomnażanie zastępu osób, godnych uczestniczenia we władzy. Z tego punktu widzenia cenzus wyborczy wieku, stosowany w systemie „demokracji parlamentarnej", jest pomysłem możliwie najgorszym.

System wyborczy.

U Wrońskiego wyborcy dzielą się na dwie grupy, pierwszą (liczniejszą) wyborców do Izby niższej (Sejmu) i drugą (o wiele mniej liczną) wyborców do Izby wyższej (Senatu). Grupa pierwsza składa się z obywateli dojrzałych do zrozumienia zasady zwierzchności ludzkiej, a tem samem do obierania członków Izby niższej, stanowiącej w parlamencie gwarancję i reprezentację tej zasady. Grupa druga, to obywatele dojrzali już do zrozumienia zasady zwierzchności bożej, t. j. transcendencji praw moralnych w ustroju państwa, a tem samem do obierania członków Izby wyższej, gwarantującej sobą supremację tej wysokiej zasady.

Grupa pierwsza nosi nazwę Uprzywilejowanych Gmin, ponieważ gmina jest tym najprostszym organizmem społecznym, za pośrednictwem którego obywatel wchodzi niejako w reakcję (styczność wzajemną) z elementem władzy w państwie. Członkowie drugiej grupy zwą się Uprzywilejowanymi Rządu, gdyż rząd jest tym czynnikiem, przez który zasada transcendentna władzy wchodzi w reakcję z podstawowym czynnikiem obywatelskim: gminą. Gmina i rząd reprezentują w państwie w sposób organiczny, najbardziej konkretny, prawo ludzkie i prawo boże; podział powyższy (i nazwy) tych grup wyborczych jest najzupełniej uzasadniony.

Każda z tych grup dzieli się jeszcze na dwie klasy, liczniejszą *wyborców* i mniej liczną, *kandydatów*, a mianowicie wyborców i kandydatów do Izby niższej, oraz wyborców i kandydatów do Izby wyższej. Klasa wyborców w grupie pierwszej nosi u Wrońskiego nazwę *straży narodowej* (dla położenia nacisku na obowiązek czuwania nad interesem obywateli), zaś klasa kandydatów nazwę *wybitnych obywateli*, t. j. tych, którzy wyróżniają się pośród dojrzałych do zrozumienia zasady zwierzchności ludzkiej. Klasa wyborców w grupie drugiej zwie się *strażą rządową* (dla zaznaczenia obowiązku czuwania nad interesem władzy zwierzchniej), zaś klasa kandydatów to *wysocy urzędnicy*, ludzie zasłużeni dla państwa, t. j. ci, którzy wyróżniają się wśród dojrzałych do zrozumienia zasady zwierzchności bożej. Rozumie się samo przez się, że kandydaci do Sejmu mianowani są przez gminy, zaś kandydaci do Senatu — przez rząd.

Obydwie te grupy tworzą dopiero to, co zwiemy dziś elitą obywatelską. Elita ta jest oczywiście pojemna na ustawiczne rozszerzanie się, aż do objęcia sobą całego narodu. Dziś jednakowoż, po długoletnim systemie powszechnego głosowania trudno byłoby ograniczyć ilość wyborców do Sejmu (grupy pierwszej) bez narażenia się na zarzut antydemokratyzmu. Dlatego wskazanem byłoby pozostawić powszechne prawa wyborcze dla tej grupy, a za elitę uważać mniej liczną grupę drugą, tl j. Urzywilejowanych Rządu. Sądzimy, że nie wypaczyłoby to wcale zasad „Metapolityki".

STANISŁAW CZERNIK

M i t

Wreszcie schwyciłem istotny mój mit
W sieć długo wiązanych przeczuć:
Ptak —
Dwoje skrzydeł żelaznych kołysze,
Jednem zaczyna się świt,
Drugiem kończy się wieczór.

W wieków wdzierając się ciszę,
W twardą kamienistą glebę,
Codziennie gryzie swój szlak
Żelaznym i drewnianym spokojem.

Więc idę — — w Ciebie!
W brózdy odwiecznym orane znojem,
W upartych pełzań skiby,
W umęczeń spocone południa.

Zbudziło się prawo długu.

I wiem już: rycerski miecz
W okręgu polnej sadyby
Wspomnieniem prac mi nie utrudnia.
Odkryłem: w tobie — krew, sok, mlecz,
Początek najlepszych wyrazów,
Protoplasto z drewna i żelaza,
Ojcze Pługu!

Mowa do Polaków

Piętnaście lat już minęło, jak miecze przekuliśmy na lemiesze. Piętnaście lat temu, żołnierz polski wbił bagnet na granicy polskiej ziemi i utrudzonem ramieniem jął się pługa, by zorać zarosłe chwastem ugory, jął się kielni, by odbudować dymiące jeszcze pożogą wielkiej wojny zgliszcza, wykopał wreszcie mogiłę by złożyć w niej święty proch ŻOŁNIERZA NIEZNANEGO, przyłożył ten zewłok ciężką płytą marmurową i wieńcem zaschniętym — zapomnienia.

Piętnaście lat zapomnienia, — zepchnięcia w niepamięć, straszliwych zmagań, z których jak z oparów krwi wyrosła: Polska Niepodległa — jakże inna i odmienna od tej, którą my sami, ojcowie i dziadowie nasi wykołysaliśmy w czczych marzeniach niewolników, w pustych obrazach tęsknoty, w górnych symbolach, i wydętych allegoriach. Ta Polska szklanych domów Żeromskiego, Polska braterska Sułkowskiego, Polska o której wyzwoleniu pisał Słowacki:

„A potem kraj nasz wolny! potem jasność dniowa!
Polska się granicami ku morzom rozstrzela
I po burzliwej nocy oddecha i żyje
Żyje! czy temu słowu zajrzeliście w duszę?"

Nie, nie zajrzeliśmy w duszę wyzwolenia. Polska Nowa wydała nam się zbyt powszednia i prosta, zbyt codziennie szara, by marzenia nasze słabe do niej przysposobić. Trud codzienny, którego ona żądała — schylił czoła nasze ku ziemi zniszczonej, spalonej żelaznym oddechem wojny. Gorzkie rozczarowanie zacięło nasze wargi a milczenie zaległo dusze. Nie objęliśmy sercami wolności.

W kotłowisku wypadków, w rosnącej grozie niebezpieczeństw, zewsząd chmurzących widnokrąg — splunęliśmy na marzenia przeszłości, które nas — głupców — haniebnie zawiodły, wybudowaliśmy ciężki mur między przeszłością a dniem dzisiejszym i poczęliśmy gorzko pracować, w ten tylko realny *trud* wierząc, który jedyny umacniał posady nowego domu naszego, gdy wątłe jeszcze ściany, gięły się pod naporem burzy, huczącej we świecie.

Zawiodły nas marzenia przeszłości.

Patrzyliśmy bo na Legjony w r. 1914, jako na jakąś szarą biedotę, opętaną majakiem *młodzieńczego romantyzmu*, na garstkę szaleńców, która nieproszona wwiązała się w gigantyczną walkę olbrzymów — niemal na pośmiewisko ludzkie. Patrjoci frasowali się, że ci z Niemcem ramię w ramię idą, owi do stóp carskich się chylą, inni w dalekiej Bayonnie — polski bataljon Legji cudzoziemskiej formują, że więc — wspólnego frontu i jednolitej myśli brak. Wzdychano do pięknego majaku legjów Dąbrowskiego — jakże innych, majestatycznych, aureolą Wielkiego Cesarza opromienionych.

A trzebaby właśnie zetrzeć z miłością serdeczną ową patynę wieków z naszej historji, by te Legjony Dąbrowskiego żywym do nas ozwały się znojem i bólem, dróg rozstajnych, niepokojem serca tułaczego, szarą troską codzienną i cuchnącym potem żołnierskim. Trzebaby krzywdę serca polskiego ujrzeć, szarpanie się dumne o ten honor polskiego sztandaru, nad którym ponury cień płatnego kondotjerstwa zawisł. Trzebaby rozpacz odczuć onej chwili, gdy święta walka o wolność, równość, braterstwo — w zaborczy imperjalizm cesarstwa się przeistoczyła, trzebaby wreszcie tragedję San Domingo rozpodobnić — w Szczypiórnę, by ujrzeć wreszcie jasno, że legjoniści wielkiej wojny byli prawowitymi wnukami tych z równin lombardzkich. Że tworzyli jeden ród o wspólnej krwi, bijącej nieodmiennie rytmem niepodległości narodu, braterstwa powszechnego w narodzie, społeczności wielkiej między narodami.

Tych piętnaście lat wystarczy może dla powszechności polskiej — do zrozumienia, że wielka wojna zastała nas Polaków, takimiż — jak i zawierucha po rewolucji francuskiej, że dusza polska zamknęła w sobie trwale loty *wielkich* swych przywódców, proroków i poetów, i Czyn niosła tą samą co przed laty ofiarą.

Pocóż ja tu dzisiaj rozpodabniam wam dwie te epoki, w których oręż polski dobyto z pochwy?

Pocóż wam uprzytamniam, że żadnej niemal niema różnicy między polskim czynem zbrojnym na przestrzeni 100 lat?

Otóż poto, by wam przedstawić, że nic nie dzieje się w rzeczywistości narodu polskiego, coby nie miało mocnych korzeni w przeszłości. Bo nie wyrośnie żadne drzewo, któreby dniom naszym cień dało — jak tylko na żyznej glebie, na tym humusie, w którym kości naszych przodków, ich serca i dusze, przetrawione przez kosmiczny płomień historji — jedyną, rodzajną są ziemią.

Gdy więc czyn zbrojny Legjonów pełnieniem testamentu był — to przecież w niepodległej Polsce — nie zrozumieliśmy jeszcze, że byt ten niepodległy utrwalić, umocnić, wbić żelaznemi słupami we współczesność, to nie wszystko. Że wybudowanie Gdyni, domów, kolei, fabryk, okrętów i maszyn, nie zwolni nas od innego jeszcze testamentu, który dalej w przyszłość będziemy musieli pełnić, a który uważaliśmy dotąd za zamknięty — pieczęcią Niepodległości.

A działał przecież i w tych latach piętnastu ów urok tradycji, swojszczyzny, drogiej każdemu sercu polskiemu, wrośniętej głęboko w psychikę każdego z nas.

Dlatego wojsku naszemu nadano ubiór oparty na historji,

Dlatego w sądownictwie, mamy sądy *grodzkie*, mamy pozwy,

Dlatego państwo podzielono na *starostwa* i *województwa*.

Dlatego mamy *Sejm*, a nie parlament, dlatego pierwszy zwierzchnik — *naczelnikiem* się zwał a nie prezydentem.

Dlatego z troskliwością największą ściąga się zewsząd wszystko, to co polskie by tu w kraju spoczęło.

Dlatego największą opieką otacza się muzea, gdzie nagromadzone leżą skarby naszej kultury i historji.

Dlatego jest jeszcze wyczucie przeszłości — powiem nawet, rosnące ostatniemi czasy.

Czy jednak nie czujecie, że czegoś w tem wszystkiem brakuje?

Że wszystko to, o czem mówiłem a co zdradza kult dla przeszłości — symbole tylko oznacza zewnętrzne, pewne proste jakby hasła, nad któremi kiwa się głową ze zbyt mądrem wyrozumieniem, uważając to wszystko trochę za szacowny lamus, trochę za narodowy śmietnik?

Że to — nic więcej nie jest, jak herb państwa lub jego sztandar?

Że w budowaniu *istotnej* współczesności polskiej, plunęliśmy — powtarzam — na tradycję, a zapatrzeni na obce wzory, nie mamy dziś: polskiego ustawodawstwa socjalnego, polskiej pedagogiki, polskiej filozofji, sztuki a nawet powiem: religji? Że cała doktryna życia państwa nowoczesnego, przeszczepiona jest z obcych pędów — i teraz dopiero może ujawnia się świadomość, że to cudze, obce i poczyna oglądać się za czemś własnem, swojem, rdzennem?

Jeśli legjoniści 1914 roku — w samej już nazwie przyznali się do wielkiej tradycji — to zapytać musimy koniecznie, czy czyn sam rodzi się w próżni? Czy możliwe jest powstanie wielkiego ruchu narodowego, jakim były legjony i inne walki o niepodległość — bez podbudowy ideowej, bez głębokiego przeorania myśli polskiej? Jeśli więc przystaniemy na tę oczywistość — przyznamy chyba zgodnie, że po wywalczeniu niepodległości, otwarła się przed nami zupełnie nowa i nie wyznaczona zupełnie przyszłość, w której niema już dawnego hasła: niepodległość i nowe hasła trzeba *tworzyć*, by naród szedł ku swym wielkim celom — nie wolno nam pod żadnym pozorem, szukać czynu nowego w próżni. Trzeba więc święte księgi *Starego Testamentu Polskiego*, wziąć w serce, by *Nowy Testament* pisać i czynić.

Mówiąc słowami Norwida:

„— wiedz, że to przez *tradycję* wyróżniony jest majestat człowieka od zwierząt polnych, a ten, co od sumienia historji się oderwał, dziczeje na wyspie oddalonej i powoli w zwierzę zamienia się.

I ci, co nie podzielili boleści, ani żalu, ani weszli kiedykolwiek w testamenta żywotów przeszłych, wyklinają się sami na pokolenia nowe, od zwycięskiej prawdy oddalone... —

Tak, iż bywa, że nanowo proroków i nanowo apostołów posyłać im trzeba na noże ich, ażeby powrócili w dawny prąd..."

Temi słowami jednego z naszych wielkich proroków chciałbym — Polacy! — ocknąć dusze wasze z piętnastoletniego błąkania po bezdrożach *cudzej* myśli.

Pragnąłbym dziś najgoręcej natchnąć was miłością serdeczną i przywiązaniem pełnem czci dla *polskiej* myśli, objawionej w naszej romantycznej trójcy, i w owym legjonie jasnych duchów polskich, które pisaną a jakże bogatą, zostawiły nam spuściznę, na której jednej tylko przyszłość nasza oprzeć się może, jak na fundamencie, którego żadne wody nie podmyją, żadne zawieruchy nie obalą.

Pragnąłbym, by w owym niedawnym symbolicznym pogrzebie Słowackiego, gdy szary proch tego wieszcza z tułaczej obcości, w majestacie najwyższym — na polski Akropol wyniesiono, w hołdzie Polski całej — byście w owym obrzędzie, — ujrzeli znak, że duch polski wstąpił na górę wawelską, którą z całej Polski widać i którą cała Polska musi słyszeć i w serca brać skołatane, by z niej snuć przyszłe dni nasze.

I nie poto, byśmy z tradycji tej uroczny czar tylko wzięli, któryby nas martwym chochołowym omamem spętał, — nie poto, by braniem gotowych wzorów, łatwiejszym krok nasz ku przyszłości uczynić — lecz właśnie poto, by w trudzie ciężkim przeorać się przez tę olbrzymów puściznę, by walczyć z nią serdecznie i serdecznie przeklinać, oby gniotła nas niewidzialna przemożnym ciężarem i by tym sposobem w trudzie i cierpieniu od spraw ogromnych, wiekuistych, rozpromienić, rozpalić dusze — iżby w ogniu tym poczęły myśl nową, czyn nowy, i *nowego człowieka*.

Ta jest moja głęboka wiara i rozumienie i wołanie o nową Polskę — po piętnastu latach. Te są moje słowa najprawdziwsze, które wam — Polacy — mówię, w piętnastą rocznicę listopadową.

To ŻOŁNIERZ NIEZNANY, ów zamknięty i zapomniany przed 15 laty w mogile, symbol *polskiego* czynu, ów kamień marmurowy i zasuszony wieniec, — wiecznie drgającym płomieniem się przypomina wam Polacy — iżbyście w budowaniu nowej Polski i nowego człowieka — poczuli się prawymi wnukami wielkiej przeszłości, — by wielkość ta szumem radosnym przeszła nad waszemi głowami, by gorącym strumieniem przepłynęła przez wasze żyły — które oby bić poczęły krwią serdeczną, żywą, krwią naszych przodków.

Tadeusz Kudliński.

Leon Chwistek — Demon Intelektu

VI). Polemika Chwistka z Ingardenem

(Dokończenie).

Otóż początkowe gołosłowne optymizmy autora w odczycie o kulturze powojenej można zostawić zupełnie bez krytyki. Rzeczywistość zaprzecza im tak kategorycznie, że dowodzić ich antytezy nie warto, tembardziej, że ich umysłowy poziom jest poniżej już nawet poziomu przeciętnego inteligenta polskiego, co jest w istocie bardzo mało. Wujaszek przesolił grubo — chodzi o to, czy świadomie, czy podświadomie — bo pewne zdania zdają się wskazywać na jakieś niezupełnie programowe akcentowanie różnic wypowiedzień na różne tematy, — poprostu niektóre z nich pachną jakimś prawdziwym defektem inteligencji, jak n. p. wyżej przytoczone. W pewnem miejscu Chwistek oświadcza, iż *nie przeczy*, że w pewnych granicach można skonstruować objektwne kryterja sztuki. Jeśli się nie określi tych granic, i nie poda kryterjów, to jest to zupełnie gołosłowny „bajc". Ponieważ zaś kryterjów takich niema (chyba w granicach tak ordynarnych, że właśnie mówienie o nich traci sens wszelki, bo w kwestji sztuki chodzi o te subtelności ostateczne, na ocenę których absolutnie sposobu niema i które o wszystkiem stanowią), więc jest to zwykłe wprowadzanie laika w błąd i dawanie mu (i krytykom) fałszywej broni przeciw tymże artystom, do których Chwistek chce być — mimo swego dyletantyzmu — słusznie zaliczonym. Co innego, że w szeregach ułożonych n. p. od obrazu realistycznego do wypadku granicznego abstrakcyjnej Czystej Formy, możemy określić jednoznacznie człony dość daleko od siebie odległe, lub n. p. nieumiejętność dziecka odróżnić od malarskiej techniki Matejki, a następnie możemy — mając system jednoznacznych pojęć jakiejś estetyki — uzasadniać pojęciowo nasze subjektywne sądy, czyli analizować przedmiot i przeżycia nasze, które nas do nich doprowadziły: ale co to ma wspólnego z kwestją o b j e k t y w n y c h k r y t e r j ó w, które są zupełną fikcją puszczoną chyba na kredyt logistycznego autorytetu. W wykładzie o „zagadnieniach sztuki" Chwistek przeczy temu twierdzeniu, stwierdzając, że tylko wtedy możemy mówić o sądach objektywnych, kiedy mamy kodeks i kanon, a ponieważ wogóle w sztuce (pomijając programowe kierunki, np. choćby niewylęgnięty na szerszą skalę, mimo tytanicznych wysiłków Chwistka, strefizm) o takich rzeczach mowy być nie może w tem właśnie, co jest jej istotą (n. p. w malarstwie o kompozycji, kolorze, ujęciu formy — porównaj, kochanie moje „Nowe formy w malarstwie" i „Szkice estetyczne"), więc pojęcia te — o ile nie chodzi o programy jako takie, czyli o daną sztukę, o przynależenie danego dzieła do danego kierunku — są zupełnie bezużyteczne. Wogóle trudno dyskutować z każdym nic nie znaczącym frazesem, od jakich się roi ten rozdział. N. p., że w dziele sztuki działa na nas „prawo według jakiego dzieło zostało stworzone". Co to znaczy — proszę o jeden choćby przykład. Chwistek wymiguje się z tego twierdząc, że „prawa tego nie musimy umieć sformułować, ale musimy je czuć". Przecież to jest niegodne uczonego w ten sposób zawracać w głowie biednej publice. Ktoś kto nie podał przedewszystkiem swego systemu pojęć explicite i nie określił stosunku formy i treści (a uważa się za formistę), nie ma według mnie prawa wypowiadania jakiegokolwiek sądu teorycznego w dziedzinie estetyki, a praktycznie ma prawo stwierdzić, że coś mu się podoba, lub nie podoba — więcej nic — nie ma już prawa sądu tego motywować, bo motywacja wymaga określonej teoretycznej postawy. Przykład mój a propos deformacji (kobieta i noga w kształcie flaszki) deformuje Chwistek w zupełnie bezczelny sposób, robiąc z tego śmieszną bzdurę (bo musi wiedzieć o co mi chodziło — tyle inteligencji ma), twierdząc, że „chciałem wymalować kobietę z nogami jak butelki" — chciałem i to mi się psiakrew nie udało — cóż za niedołęga jakiś! — i ogwazdruje mnie, korzystając ze swego logistycznego autorytetu przed nierozumiejącą publicznością — to już wkracza w sferę intelektualnej nieuczciwości, która niestety jest u nas zjawiskiem nader rozpowszechnionem.

Wogóle Chwistek programowo neguje zupełnie moją teorję sztuki, jakby jej nie było, chwali moje sztuki i powieści ogólnikowo explicite dla zamaskowania swego jadowitego i nieszczerego do mnie stosunku, a gdzie może, podpuszcza bezimienne złośliwe aluzje, które są wbrew jego twierdzeniom doskonale zrozumiałe dla tych, o których mu chodzi, t. j. jego adherentów i naszych wspólnych znajomych — metody płazie i główniarskie, których uprawnienie i sankcjonowanie autorytetem profesorskim nie jest społecznie korzystne. I będzie — cytując samego Chwistka — „z tego potem niesmak bezgraniczny, wlokący się za nami przez całe życie i (sic) wtykający swój lodowaty palec w chwile rozmarzenia i zatopienia się w sobie" — kiedyś tak będzie z pewnością, ale jeszcze nieprędko. „Nadmiar wiedzy szkodzi nie tylko artyście, ale i wielu uczonym" pisze sobie Chwistek. Jak tam jest z uczonymi, o tem możnaby jeszcze pogadać — często rzeczywiście erudycja może przeszkadzać, chociaż czy nie jest raczej tak, że erudytami zostają poprostu typy nietwórcze, ale co do sztuki to jest wprost bezecne kłamstwo i koniec. Chwistek, który jest niezwykle według mnie utalentowanym malarzem i to artystą czystej krwi w mojem, t. j. formalnem znaczeniu, nie „doumiał się" jednak stanowczo w malarstwie i dlatego nie osiągnął ostatecznych rezultatów do jakichby dojść mógł, gdyby dostateczną wiedzę był zawczasu posiadł. Piszę „zawczasu", bo nie w każdej epoce życia nauczyć się wszystkiego można; trzeba to robić dość wcześnie, kiedy jeszcze stawy, mięśnie i gangljony posiadają dość giętkości i tężyzny. Ale dlatego, że ktoś nie dość sam umie n. p. rysować, propagować nieuctwo w sferze, w której się jest genjalnym może, ale w każdym razie dyletantem — [zdanie apodyktyczne co do kwestji samej nauki właśnie, uważam za nieuczciwe] — jest to równocześnie śmieszne i ponure — ale raczej to drugie. Zabawny jest ten formista, który bawiąc się w Irzykowskiego, sam najwyraźniej broni sztuki przed „abstrakcją" (t. zn. „formą"?) w imię stosunku do rzeczywistości. Wogóle zabawnym jest ten, logistyk, który jest sam jedną wielką sprzecznością. Zabawnem jest też — ale w innym wymiarze — takie wymienienie wszystkich nieistotnych, według mojej teorji, (treściowych) elementów obrazów, które według Chwistka przeczą artystyczności dzieła. Wszystkie („nerwowe" wyrazy, deformacje ciała) są elementami (nieistotnemi) moich właśnie obrazów. Te podróbki, podane w poczciwym, optymistycznym sosie z domowej kuchenki, mogą złudzić przeciętnego czytelnika i może on uwierzyć również w perfidne sofizmaty, które razem z tym sosem gładko przełknie. Piszę to właśnie jako ostrzeżenie i przestrzegam, że jakkolwiek chcę poprostu mówiąc Chwistka „zniszczyć"*) (co mi się oczywiście nie uda), to temniemniej nie mam dla niego nic, prócz cieni dawnego — zabitego przez niego samego — przywiązania; z czystem sumieniem mogę stwierdzić, że osobiste kwestje w świecie ideji nie mają dla mnie żadnego znaczenia.

S. I. Witkiewicz.

*) Oczywiście nie życiowo, tylko ideowo, chociaż drugie może czasem pierwsze pociągnąć. Ha trudno, takiem jest istnienie. Chodzi tylko o to, aby naprawdę o ideje walczyć, a nie jak przeważnie u nas o stanowiska, wpływy i dobra materjalne.

Polski numer „Archy"

Miesięcznik „Archa" jest organem zrzeszenia katolickich pisarzy na Morawach; założycielem tego pisma był przed 20 laty poeta K. Dostal - Lutinow. Obecnie prezesem powyższego zrzeszenia, noszącego nazwę: „Družiny literární a umělecké", jest ksiądz Emanuel Masák, znany polonofil, autor książek i essayów o literaturze polskiej. Jest on również długoletnim redaktorem „Archy". Niezwykle czynną rolę organizacyjną pełni w tem wydawnictwie znany już czytelnikom polskim poeta Adolf Gajdosz. Ostatni „polski" numer „Archy" jest w znacznej mierze jego dziełem, on to bowiem zajmował się zbieraniem doń materjału od pisarzy polskich.

Numer wypadł bardzo interesująco, choć podobno — ku ubolewaniu organizatorów — strona polska zawiodła, nie dostarczając tego, co obiecała. Słusznie skarżą się pobratymcy czescy na naszą niesumienność pod tym względem.

Treść numeru jest tak bogata, że trudno przytoczyć wszystko. Z artykułów cytujemy w kolejności: Jerzego Brauna „Najvetszi filosof slovanstwa" („Hoene-Wroński v zrcadle doby"), dr. St. Marek - Mazurkiewicza „O souczasném umeni v Polsku" i „Vlastimil Hofman", Adolfa Gajdosza „Od „Mladé Polsky" k moderni polské poesii", Wiesława Goreckiego i Tadeusza Kudlińskiego „Souczasny literárni Krakov", St. Czernika „Smer literárne - regionálni ve Velkopolsce", Adolfa Gajdosza „Lesta do Krakova", Karola Schulza „Myslenka svatowojteszská", Macieja Szukiewicza „Jak jsem se dostal k prekládáni czechovych pisni otroka?".

Drugą część, obszerniejszą jeszcze od publicystycznej, wypełniają liczne przekłady z poezji polskiej na język czeski i odwrotnie, z poezji czeskiej na polski. Są tam utwory Józefa A. Gałuszki, Leopolda Staffa, Jerzego Brauna, Janiny Brzostowskiej, Józefa Birkenmajera, Stanisława Bąkowskiego, Józefa Czechowicza, Stanisława Czernika, Edwina Herberta, Kazimiery Iłłakowiczównej, Jalu Kurka, Bolesława Leśmiana, Antoniego Madeja, Marjana Niżyńskiego, K. H. Rostworowskiego, Pietrzyckiego, Młodożeńca, Rusinka, Tadeusza Szantrocha, Kazimierza Wierzyńskiego, Emila Zegadłowicza i in. (jak widzimy, najskromniej reprezentowana jest Warszawa, najobszerniej zaś uwzględniono Kraków). Z autorów czeskich: Otokar Brzezina, Svatopluk Czech, Frantiszek Striżowsky.

Prawie wszystkich przekładów z poezji polskich dokonał Adolf Gajdosz; prócz neigo figurują jako tłómacze: O. F. Babler i J. Karnik. To trudne zadanie wypełnił Gajdosz sumiennie, z prawdziwym pietyzmem, wnikając współtwórczo w ducha utworów.

Ks. Emanuel Masák, redaktor „Archy", zamieścił w numerze art. „Dr. Tomász Bratránek a Józef Szujski", oraz zestawienie „Poloniców" z Archy" (w latach 1912 — 1933). Uzupełniają numer informacje bieżące o nowych książkach czeskich, oraz reprodukcje drzeworytów Janiny Konarskiej.

Konsul polski w Morawskiej Ostrawie dr. Karol Ripa, poprzedził ten piękny numer krótkim wstępem („Nekolik slova o czesko - polské spolupráci").

Całość wygląda poważnie. Redakcji „Archy" należy się pełne uznanie za inicjatywę i wykonanie tej imprezy literackiej, która stanie się jeszcze jednem ogniwem zbliżenia kulturalnego obydwu bratnich narodów.

Książka o Mickiewiczu

Aleksander Wojtecki: *Piśmiennictwo słowiańskie w świetle wykładów paryskich Adama Mickiewicza.* 223 + V str. Warszawa 1933. Nakładem Instytutu wydawniczego „Bibljoteka Polska".

Książka ta ukazuje się w chwili, gdy w literaturze naszej wzbiera fala neoromantyzmu, a w ideologji polskiej coraz wyraźniejszych kształtów nabiera potrzeba więzi duchowej z całą Słowiańszczyzną. O ile nawet autor nie dążył świadomie do tego, by z tym ruchem współdziałać, to już przez to, iż sięgnął do źródeł, skąd bierze początek dwojaki ten ruch, tem samem przyczynia się on do jego wzmożenia.

Autora interesują zarówno wielcy nasi poeci, przedewszystkiem Mickiewicz, jak i myśliciele - mesjaniści, na czele z Hoene-Wrońskim, którego nazywa „jednym z największych wówczas filozofów europejskich" i któremu poświęca liczne wzmianki w swej pracy.

Mickiewicza pragnie p. Wojtecki ukazać nie tylko jako wielkiego poetę, lecz również jako samoistnego myśliciela, bodaj nawet główny kładąc nacisk na tę drugą stronę twórczości naszego wieszcza. — Zdaniem autora, najlepiej wypadło u Mickiewicza oświetlenie stosunku jednostki do narodu, oraz podkreślenie znaczenia idei mesjanicznej jako więzi między - słowiańskiej. Znamienne w tym względzie są następujące przytoczenia:

„Instytucje narodowe dają jednostce wszelką pomoc przy urzeczywistnianiu prawdy. Spełnienie tego obowiązku jest ciężkie i wymaga wielowiekowych trudów... Oto dlaczego człowiek bez narodowości jest człowiekiem niezupełnym. Jednostka taka może posiadać wiedzę, lecz nie jest zdolna do działania".

„Zjednoczyć Słowiańszczyznę potrafiłaby tylko idea powszechna, wielka, idea zdolna objąć całą ich przeszłość i przyszłość. Wówczas dopiero utworzyliby Słowianie ten stopień w postępie ludzkości, któryby pozwolił im oddać dla dobra ludzkości te pierwiastki ich charakteru, które mogą mieć wartość powszechną i przyczyniać się do powszechnego szczęścia".

Piękny język, jasność wykładu, aktualność poruszonych zagadnień, szczegółowość informacyj — wszystko to czyni z tej książki dzieło wysoce godne przeczytania.

P. Ch.

Plastyka zagranicą

W książce p. t. „Proúdhon — Marx — Picasso" próbuje Max Raphael na przykładzie obrazów Picassa wykazać wpływ teoryj socjalistycznych na współczesne malarstwo.

Wystawa ludowego malarstwa na szkle otwarta w Pradze zawiera wytwory sztuki ludowej Czech, Moraw i Słowacji. Większość z nich pochodzi z końca 18-go i początku 19-go wieku i za temat ma sceny z życia Jezusa, Matki Boskiej czy świętych. Rzadziej obrazują one legendy o znanych bohaterach ludowych, jak np. o Janosiku - zbójniku i jego towarzyszach (Słowacja).

Wystawę grafiki włoskiej w Koszycach zorganizowano w październiku. Udział wzięło 79 artystów, wystawiwszy ogółem 200 prac. W katalogu wystawy zamieścił studjum o grafice włoskiej Carlo Alberto Petrucci.

Wielka dwutomowa Historja Sztuki Laroussea ukazała się ostatnio w Paryżu. Redagował tę wielką zbiorową pracę Léon Deshairs (tytuł: L'Art de Arygines à nos Jours). Układ tego wydawnictwa nie różni się od innych tego rodzaju publikacyj. Rozdział na poszczególne narody, a w nich na epoki. Główny nacisk położony na sztukę francuską, która jest opracowana doskonale. Równie dobrze ujęta sztuka angielska. Najłatwiej wypadły — jak zwykle — mniejsze narody (Słowianie, państwa nadbałtyckie i t. p.).

KOLUMNA POETÓW

pod redakcją Józefa Czechowicza

KONRAD BIELSKI

Legenda

1.

Do portu zawinął okręt.
Stał trzy dni,
nadymił i pojechał dalej.
Legendą dymu żyła woda i wybrzeże,
w spelunkach i zaułkach ludzie do ucha szeptali
tajemne i zduszone słowa —
nikt nie chciał wierzyć.

W dalekich, gorących miastach błękitnych, egzotycznych
ludzie są czarni, jak smoła,
ptaki barwne, jak kwiaty,
w zielonych ścianach ljan pękają kule mistyczne,
dno morza świeci księżycem,
ziemia pachnie latem,
z rozrosłych konarów drzew kapie wino i mleko,
w olejnych gęstych jeziorach pływają perłopławy.
A wszystko niedaleko —
wystarczy sięgnąć ręką
i poprzez palce przesiewać się będzie pył złotawy.

Gdy lampy zdmuchnie noc,
umilkną przecięte kable.
Gdy oczy krążowników będą ślepe i wydarte
można kotwice rwać,
odpłynąć w ciemność nagle.
Droga otwarta.

Żona marynarza w oczach miała ocean zasnuty kłębami mgły.
Śniło się jej nad ranem,
że ponad gajami fal, nad brudnoszarą rzeką leciała aeroplanem,
słońce tryskało z piasku, srebrem świeciło błoto,
tysiącem stubarwnych tęcz grały kamienie ulicy.
Dokoła leżało złoto, na drzewach rosło złoto
i taczki pełne złota pchali czarni niewolnicy.
Po piersiach bladej córki smutnego kapitana
spływały sznury pereł, we włosach drżały djamenty.
Oczy slepły od blasku.
Nogi tonęły w dywanach.
Na kartkach kalendarza krwawiły się same święta.
Książęta i królowie głaskali długie palce,
lizali krwawe rubiny,
pieścili usta blade.
Codziennie było kino,
muzyka grała walca
i takie mnóstwo ciastek, cukierków, czekolady!

Kto tylko tego chciał
tej nocy kupić mógł wszystko:
bułki, słoninę, ciastka, buty, koszule, wstążki,
bo morze poszło w głąb:
na plaży, na lotnisku,
leżały nieprzeliczone niczyje, żółte pieniążki.

2.

W kanałach stoją łodzie.
Otwarte armat paszcze
wiatr pijany głaszcze,
łaskoczą hydroplany.
Torpedy przebiegają po szarej, gęstej wodzie,
morze jęzorem fal mlaszcze,
wołają statki zbłąkane;
noc leje strugi sadzy w wód oszalałą gardziel,
układa płaty waty na zdradnej śluzy przęśle;
dalekie syreny jęczą i płaczą coraz bardziej.
Przeszli.

Noc parna. Szkwał.
Fala okręty kołysze.
Reflektor. Strzał.
Cisza.
Na drodze siny kres.
Telefon dzwoni:
s. o. s.!
Nikt nie dogoni.

Fala. Fala.
Grzbietem nieba dotyka,
cielsko przewala
od lodów do równika,
zabiera lądy,
gniecie gór obeliski,
rwie prądem,
wali wilgotnym pociskiem,
wyspy zgładza,
podnosi w górę morze,
ziemię rozsadza,
gdzie leżą złote złoża.

Pomiędzy czarne scylle
i wiry chłodnej charybdy,
w odmętach, gdzie pancerniki stalowe giną, jak muchy,
przez leje podwodnych trąb,
którędy nie przeszedł nikt nigdy,
gdzie straszą duchy,
Kortezów i Pizarów skrawione ciemne sylwetki
nieznanem przejściem wśród raf,
spokojną cichą wodą,
ponad zrębami skał, powietrzem, równo i lekko
okręty nasze powiodą...

3.

Mgła łzami długich ławic owinęła śruby i tłoki.
Słone krople padały na maszty i kominy,
delfiny i wieloryby rzygały srebrem w obłoki
i złote ryby padały w perłowych mgieł muśliny
i nigdzie nie było lądu, zatoki, ni przystani.
Ponad wód prześcieradłem namiot nieba nieruchomy.
Podwodne kleszcze prądu igrały ze sterami,
drewniany pokład gniotły zwichrzonych wód ogromy.

Rudy pił czystą wódkę z szklanej pękatej butli,
brodaci grali w kości zębami towarzyszy,
dziobaty grał na lutni,
a inni byli smutni,
czekali, aż wiatr się uciszy.
Płakali i prosili:
„nie bądź ty dla nas bogiem,
chcemy byś był bankierem,
rozwinął gwiazd rulony;
by woda szczerem srebrem pluskała nam pod nogi,
dzieci bawiły się złotem,
złoto rodziły nam żony.
Chcemy chodzić na codzień w koronach i djademach,
wprowadź nas zabłąkanych pod djamentową niszę.
Syreny śpiewają przez radjo, że stąd powrotu już niema,
a nocą słyszymy, jak inni, gdzieindziej, pieniądze liczą..."

Woda zmieniała kolory,
tęcze skakały po morzu,
zorza na krańcach wód zakryła niebo wachlarzem.
Lody parły na okręt
(czterdzieści stopni mrozu).
Kostnieją twarze.
A kiedy ogniste słońce złotem chlustnęło z góry,
wylało barw koktajle na lodów twarde szkło,
wyszli im na spotkanie ludzie odziani w skóry.
Cuchnęło potem, mięsem i cieczą lepką, mdłą.
Powiew północnej nędzy bił w nozdrza wilgotnym smrodem,
tran spływał ze ścian czarnych i kapał w zupę z krwi.
Niebo. Talerz srebrny.
Wody zakute lodem.
Nazawsze już powrotu zamknięte drzwi.
I cisza szumi w uszach,
oczy skleja szronem,
mak biały sieje zwolna do miski martwych wód
i wiemy już napewno:
wszystko skończone —
już tylko śmierć i lód.

Zagięte palce palm chwiały się monotonnie,
ostry wiatr czesał ljany,
fruwały czerwone motyle.
Dokoła czary moczarów lepkie kwiaty bezwonne
straszyły djabły, pawjany, goryle i krokodyle.
Noc w noc włochate wampiry ssały gorącą krew
a z głębi rzeki wołały głosy niesamowite.
Na niebie stał krzyż srebrny,
dolatał żałobny śpiew,
ziemia potniała mgłami,
świt sączył się przez sito.
Czarni, kędzierzawi, skrycie stawiali fetysze
w dziuplach dziobatych drzew.
Księżyc lał kubły rtęci.
Dyszała zgrzana ziemia.
Śmierć szeptem przerwała ciszę.
I blado się uśmiechali z obrazków bezsilni święci:
„poco nas wzięli ze sobą, z nad prostych, drewnianych łóżek?
znużeni żarem żądzy jesteśmy mali i słabi,
bo w kącie bożek drewniany wlepił w nas oczy kurze
i czarny czarownik spowił siecią magicznych jedwabi"...

A tu też niema już hurys, farysów, beduinów.
Wielbłądy wiecznie te same kołyszą wzdęte garby.
Jest tylko suchy wiatr,
jest pewność, że trzeba zginąć
i nigdzie niema złota:
piasek zasypał skarby.
Nad pustą skrzynią siedzi samotna szecherezada,
liczy liczmany łez.
Z księżyca kapią opale,
do oczu pcha się piach,
muzyka jęczy w skale,
a we dnie widać w oddali
kopalnię złota, złomy,
oczy, djamentów pola, rubiny i topazy.
Rzek złotodajnych fale,
otwarte naoścież domy,
kolumny platynowe,
w snach malowane obrazy —
wszystko się mieni, skrzy, słońca w kryształach zamyka,
gra różnych barw miljonem,
ocieka wprost bogactwem!
Wyciągasz dłonie —
mgły —
pustynia z niebem się styka —
białe, spalone kości roznosi czarne ptactwo.

4.

Już dzisiaj wszyscy wiedzą, co wczoraj się zdarzyło!
Po srebrnej nitce drutu jęk konających płynie,
zliczono ilu umarło, ilu się potopiło,
za parę dni oglądać będzie to można w kinie.
Rachunek prosty wskazuje: działali bez żadnej szansy.
Krzyżykiem oznaczono cmentarze na globusie.
Temat można wyzyskać w poezji lub w romansie,
narazie — opisać w gazetach.
Tak było. Tak być musi.

Szerokie ulice miasta zalały tłumów fale,
od portu płynęły gęste, wezbrane ludzkie rzeki.
Miljony stalowych liter wygniatał stalowy walec
i małe czcionki w oczy kłuły, jak ostre ćwieki.
Na dachach drżały anteny pijane nawałem wieści,
trąby gigantofonów rzucały bezładne zdania,
krzyczały okna drukarni,
jazgotał wrzask niewieści,
wrzały ulice gwarem, buntem, zapamiętaniem:

„Nieprawdą jest, że tajfuny cyklony i orkany
wirem żarłocznych trąb łykają okrętów koszyki!
Nieprawda, że nasze dzieci mrą z nędzy w rowie pod ścianą!
Nikt nigdy nie umarł z głodu!
I niema wcale Afryki!
Kłamstwo, co krzyczy fala nadana w dalekiem mieście,
nie mogą przecież ginąć piękni, silni i młodzi!
My nie wierzymy wcale, że przeszło dni czterdzieści,
my wiemy doskonale: bogactwo płynie w łodzi...
Nie będziem już przymierać w parszywych brudnych dziurach,

będziemy żreć dosyta,
będziemy pić naumór,
tarzać się po dywanach, brokatach i purpurach,
będziemy mieć pieniądze, wesele, szczęście, humor!
Zapomnimy nazawsze, że śmierć koło nas chodzi,
że słońce mózg wysusza, że członki mdleją z trudu.
To co ma być, niech będzie,
niech dzisiaj już przychodzi.
Grozimy i prosimy —
my chcemy cudu! cudu!"

I spojrzał Stwórca okiem w złotej, trójkątnej oprawie,
na tłumy oszalałe, na miljon proszących rąk.

Okręty ładowne płynęły w ogłuszającej wrzawie,
port szumiał chorągwiami,
fala pękała, jak strąk.
Na molo stały dzieci,
fruwały białe chusteczki.
W głębi — tłum niezliczony oblepił plażę wybrzeża.
Zdaleka już było widać pełniutkie złota beczki.
Liczono na miljony!
Teraz już każdy wierzył.
I nieśli, nieśli, nieśli
wory, walizy, paki,
wiadra, konwie, stągwie
naręcza, pudła, skrzynie.
Jęczały ciężkie dźwigi,
skrzypiały stalowe haki
i ciągle wynoszono nowe, pełne naczynia.
Ładowali na auta, platformy, wozy, wagony,
rulony, sztaby, bryły,
dolary, ruble, dukaty.
We wszystkie świata strony pociągi odchodziły.
Za trzy dni i trzy noce każdy już był bogaty.

Codziennie na rano bułki trzeszczące z masłem i miodem,
potem dwa jajka na miękko i szklanka białej kawy.
W południe złote owoce, pachnące słońcem i chłodem,
kosze winogron, pomarańcz z dalekiej Sumatry i Jawy.
Na obiad — tłuste pieczenie naszpikowane słoniną,
ptaszki duszone w śmietanie, grzybki smażone na maśle,
talerze gęstych zup, półmiski ze zwierzyną.
A potem głęboki fotel,
cygaro zanim się zaśnie.
Wieczorem muzyka gra,
na stole torty i wina.
Płoną tysiące lamp
w lustrach, kryształach, napojach.
Snuje się wonna mgła,
melodje biją godziny,
przez okna sączy się noc i sypią się gwiazd roje.
Przychodzą piękne panie, pachnące, gorące, blade,
ubrane w lśniące jedwabie (maki, begonje i róże),
siadają w dymu mgłach,
częstują czekoladą,
całują prosto w usta i zapraszają do łóżek.
Ciało zanurza się w puchach,
członki omdlały z pieszczoty.
Zegar odmierza godziny
po słodkim żywota trudzie.
Do oczu sypie sen drobniutki pyłek złoty
i słońce, słońce, słońce,
w oczy spogląda i budzi.

Brzozowskiego — filozofja pracy

Logos czy praca?

Uważam za konieczne uzasadnić, dlaczego przywiązuję tak wielką wagę do filozofji pracy St. Brzozowskiego. Otóż była to jego prawdziwie samodzielna, własna kreacja myślowa. Inne jego pomysły koincydują z naczelnemi ideami metafizycznemi filozofji polskiej wogóle, będąc przedewszystkiem antycypacją filozofji absolutnej Hoene - Wrońskiego. Całe jego przezwyciężanie chrematyzmu (= idei „świata gotowego"), cały jego nieprzeparty pęd ku achrematyczności, ku kreacjonizmowi bezwzględnemu, jest niczem innem, jak bezwiednem przygotowaniem gruntu pod olbrzymią reformę filozofji, dokonaną już przez Wrońskiego, lecz nieznaną światu współczesnemu. Natomiast w swej filozofji pracy jest Brzozowski całkowicie oryginalny i należeć będzie do historji, jako twórca potężnego narzędzia duchowego, zapomocą którego myśl polska będzie mogła w przyszłości zadać doktrynie bolszewickiej cios śmiertelny.

Jeżeli umiemy dostrzegać kierowniczą rolę idej, doktryn i wielkich systemów filozoficznych w dziejach ludzkości, to stwierdzimy z łatwością, że Europa współczesna znajduje się od lat kilkudziesięciu w orbicie heglizmu. Niwelacja jednostki, podporządkowanie jej ideom państwa, narodu i klasy, użycie jej jako materjału budowlanego dla tych wielkich całostek społecznych — wszystko to jest wynikiem przesączania się główuych założeń doktryny Hegla w umysły polityków, socjologów, teoretyków prądów społecznych, przywódców stronnictw. Niszczący wpływ, świetnego skądinąd jako koncepcja metafizyczna, heglizmu, przejawił się najjaskrawiej w Rosji sowieckiej, gdzie lewica heglowska założyła sobie olbrzymie laboratorjum doświadczalne, wypróbowując marksizm (to lewe zwyrodnienie heglizmu), na stusześćdziesięciu miljonach Bogu ducha winnych obywateli. Nieszczęśni Czukcze i Samojedzi, zaganiani gwałtem do kołchozów, mają się stać sprawdzianem heglowskiej metody djalektycznej, zastosowanej do rozwoju dziejów. Fałszywie pojęta idea planowego samoorganizowania się ludzkości, fałszywa koncepcja „świata pracy", doprowadziła do potwornego pomieszania pojęć, z którego nie wyzwoli nas żaden faszyzm, lecz tylko przeniesienie całego zagadnienia na nową, wyższą płaszczyznę.

Pomiędzy Wrońskim a Heglem rozegra się kiedyś wielka bitwa ideowa o rząd dusz i o reformę moralną świata społecznego. Ale na konkretnym terenie stającej się historji, pomiędzy heglowskim spekulatywizmem a Wrońskiego kreacjonizmem absolutnym otwiera się luka tak wielka, że przejście bezpośrednie od takiego np. bolszewickiego heglomarksizmu do Hoene-Wrońskiego Unji Absolutnej, nie da się pomyśleć.

I tu przychodzi w pomoc filozofja pracy St. Brzozowskiego, stanowiąca pomost od współczesnych pojęć o „świecie pracy" do koncepcji pracy, jako substratu nieśmiertelności (t. j. w znaczeniu norwidowem), jako bytowego podłoża mocowładności stwórczej istot rozumnych, a wreszcie do samej transcendentnej idei samostwarzania się ludzkości.

Takie genezyjskie pojmowanie pracy, jako stwarzania sobie przez jaźń podstawy w bycie, nastręcza wiele trudności ontologicznych i musi być w przyszłości poddane głębokiej krytyce. Jednakowoż krytyka ta dotyczyć będzie nie samej istoty problemu, lecz nieścisłości wycechowań terminologicznych. Mianowicie, gdybyśmy rozważali kategoremat pracy nie z punktu widzenia ekonomji społecznej, lecz metafizycznie, t. j. po myśli Brzozowskiego, musimy koniecznie rozróżnić pojęcia *stwarzania* i *wytwarzania*, które Brzozowski często miesza ze sobą, używając ich zastępczo. Jest oczywistem, że Brzozowski, mówiąc o pracy jako akcie utożsamiania myśli i bytu, dokonywanym przez jaźń ludzką, ma na myśli Logos, mocowładność stwórczą, czynność par excellence transcendentalną, bo wspartą na samej sobie (niewarunkową!), a zarazem celowo przekształcającą środowisko kosmiczne naszego Ja, przedmiot absolutny świata, Nie - Ja.

Możnaby się zgodzić i na to, z tem zastrzeżeniem, że będzie to Logos ludzki („Słowo w człowieku" — podług terminologji Wrońskiego) i to działający na terenie historji, w świecie doczesnym, gdyż pojęcie pracy wiąże się w sposób konieczny z pojęciem *trudu*, przełamywania oporu: tymczasem idea Logosu w Bogu nie może być interpretowana w taki sposób, gdyż władza stwórcza Boga, jako samorzutność absolutna, na żaden opór natrafiać nie może. Może ona conajwyżej respektować *warunki*, które stworzyła dla siebie sama, jako rozumny teleologizm w zakładaniu wszechświata, zachowując przytem pełną niewarunkowość w sferze achrematycznej.

Ogromnie pomocną w rozstrzygnięciu tego trudnego zagadnienia może nam być „Propedeutyka" Hoene - Wrońskiego (w szczególności Metodologja), gdyż tam właśnie znajdujemy określenie Logosu od strony treści i formy, a mianowicie treść = *stwarzanie*, zaś forma = *wytwarzanie*. Mamy więc tam to podstawowe rozróżnienie, którego nam tak potrzeba dla zrozumienia pomysłu Brzozowskiego.

Praca a problemat historji.

Praca była dla Brzozowskiego archimedesowym punktem oparcia dla jego idei historji, rozumianej, jako nowy, wyższy rząd stworzenia, jako autogeneza istot rozumnych. Myśl jego poruszała się zawsze w żywiole historji; wszak pisał sam: „Złudzeniem poznawczem jest, że człowiek jest w stanie wyjść w jakikolwiek sposób myślą poza historję".

Historja, to dla niego świat powinności twórczej, świat stwarzany, przedmiot filozofji, — w przeciwieństwie do przyrody, czyli świata gotowego, przedmiotu nauk.

„Celem filozofji jest nie zrozumienie bytu, lecz stwarzanie świadomości, która mogłaby uczynić historję świadomie stwarzanem przez człowieka dziełem".

„Ludzkość stwarzająca samą siebie — oto jest podstawowa zasadnicza *idea* filozofji" („Idee", str. 136).

Idea, w terminologji Brzozowskiego, to *zagadnienie*, problemat twórczego rozumu. Zaś rozwiązywanie problematów w tej sferze nie odbywa się inaczej, jak przez wytwarzanie tych rzeczywistości, które są postulowane w idei. Jest to niezmiernie ważny punkt widzenia, który spokrewnia filozofję Brzozowskiego z genezyjskiemi koncepcjami Słowackiego. Człowiek nie znajduje nic poza sobą; on tylko nosi w sobie pewne zagadnienia, pewne idee, które powinien zamienić w konkretne rzeczywistości metafizyczne. To czego wcale dotąd *niema*, ma być *uczynione*. Nic nie powstaje bez świadomego, samorzutnego czynu istoty rozumnej.

„Filozofja — to nie poznanie czegoś pozaludzkiego, to samo poznanie ludzkości, samorząd jej. To tworzenie tych *idei*, które mają być punktami skupienia sił ludzkości.

„Z tego punktu widzenia dopiero ludzkość zyskuje prawo stwarzania *idei*, stawiania sobie zagadnień.

„Jakich zagadnień?

„Oto tych, jakie tu wyrastają: — jak uczynić człowieka świadomym twórcą kultury, a więc pracy, techniki, prawa, nauki, sztuki?

„A przedewszystkiem, jak uczynić go *stwórcą samego siebie*, jak nauczyć go rozwiązywania zagadnień wynikających z konieczności panowania nad samym sobą. Konieczności, bo powrotu już tu być nie może.

„Panować już nad człowiekiem nie może nic; byłoby to dobrowolnym upadkiem, znieprawieniem świadomem...

„Filozofja musi się stać budowniczynią, prawodawczynią życia.

„Jedyną możliwą dziś filozofją jest nie fatalizm postępu, lecz prometeistyczna świadomość odpowiedzialności i walki".

Tak pojęta historja przypomina nam filozofję historji Wrońskiego, zwłaszcza jej szkielet metafizyczny. Prawo Postępu, którego najbardziej adekwatna definicja brzmi: przejście od heteronomji do autonomji, *od konieczności do wolności*.

Gdzież jednak w tym układzie pojęć, miejsce dla pracy? Otóż, podług Brzozowskiego, praca dokonuje tego przejścia in concreto, wytwarzając dla człowieka idącego żmudnie poprzez historję ku swoim ostatecznym celom — podstawę w bycie. Odbywa się to w ten sposób, że praca: 1) przechowuje skutki twórczego działania ludzkości na całej przestrzeni dziejów, w postaci pewnego, już osiągniętego *trybu istnienia*, który dla dalszych pokoleń staje się punktem wyjścia do nowych zdobyczy; 2) dźwiga ontologicznie jaźń ludzką w coraz wyższe strefy bytu, rozwija w niej coraz wyższe mocowładności twórcze; 3) gromadzi nazewnątrz w świecie przedmiotowym skutki czynności ludzkich.

Dzięki pracy, każdy człowiek i każde pokolenie, nie potrzebują powracać wciąż na nowo do punktu wyjścia w zdobywaniu coraz doskonalszych sposobów istnienia, znajdują bowiem już nagromadzony i przekazany sobie kapitał, w postaci fizycznego, odziedziczonego substratu jaźni wewnątrz (subjektywnie), a instytucyj, urządzeń publicznych, narzędzi techniki i t. p. na zewnątrz (objektywnie). Kategoremat pracy sprawia: że ludzkość minionych epok historycznych jest wciąż obecna wśród nas za pośrednictwem przekazanych nam własnych, w krwawym trudzie wyprodukowanych kreacyj. Gdyby nie utrwalanie się, samozakładanie pracy ludzkiej w bycie, nikt z nas nie mógłby być pewnym, że jego najbardziej wytężona działalność dla dobra świata, pozostawi w jego otoczeniu i w przyszłych pokoleniach jakieś widome ślady.

Między samorzutnością a bezwładem.

Brzozowski zdaje sobie sprawę, że powyższe tezy nie są jeszcze rozwiązaniem zagadnienia. W rozumowaniach jego jest więcej metody i precyzji, niżby się to na pozór mogło zdawać. Pomysł swój oświetla on i obwarowuje bardzo wszechstronnie przeciw ewentualnej krytyce.

Gdyśmy wysublimowali już przyrodę i historję, jako dwa naczelne żywioły rzeczywistości w systemie Brzozowskiego, gdyśmy zrozumieli myśl jego, że przyroda jest *środowiskiem kosmicznem*, a historja *środowiskiem autogenetycznem* (samostwórczem) jaźni, musimy żądać od jego filozofji pracy, by dała nam określenie pracy w związku (genetycznym) z powyższemi elementami. Mówię: genetycznym, bo u Brzozowskiego idzie przecież nie o spekulatywne wytłómaczenie świata już *danego*, lecz o ukazanie nam rzeczywistości w samostwarzaniu się, czyli genezy.

Związek taki znajdujemy u niego rzeczywiście. Człowiek historji wchodzi przecież w gotowy świat przyrody, w skomplikowany układ warunków fizycznych, z których ma się dopiero wyzwolić. Mniejsza o to, że ten rzekomy świat przyrody, to tylko konieczne warunki doświadczenia, to przyroda w znaczeniu kantowskiem, jako pewien mechanizm prawidłowego wiązania naszych pojęć rozsądkowych z naszemi formami oglądu zmysłowego (t. j. czasem i przestrzenią). Historycznie ważnem jest to, że człowiek pierwotny wcale o tem nie wie i przyjmuje te własne warunki doświadczenia, wytworzone przez istoty żyjące przed nim (i odziedziczone po nich), jako potężny żywioł, znajdujący się poza nim, otaczający go wokół. Różnica pomiędzy nim a światem zwierzęcym jest zrazu tylko ta, że zwierzęta nie odczuwają ucisku tych warunków jako czegoś nieznośnego i poruszają się w nich, jako w swem naturalnem środowisku, podczas gdy człowiek, noszący już w sobie potencjalność nowej, wyższej rzeczywistości, pragnie się z nich wyzwolić. Otóż potęgą zdolną dokonać tego wyzwolenia się z warunków fizycznych, jest w człowieku Logos, samorzutność twórcza (której wytłómaczeniu poświęca Brzozowski obszerne studjum). Potęga ta umieszcza już jaźń ludzką w jej istocie hyperfizycznej, *poza światem stworzonym* (zastanym, gotowym), w sferze achrematycznej; ale człowiek ma w sobie ten świat gotowy, swoją przyrodę fizyczną, swoje Nie - Ja i zmuszony jest ustawicznie je opanowywać, przezwyciężać.

Przezwyciężanie Nie - Ja przez Ja dokonuje się za pośrednictwem pracy. Jest tedy praca samorzutnością twórczą, bytującą w sferze chrematycznej, w bezpośredniej styczności z przyrodą. Stąd uporczywe dążenie do uwolnienia się od zależności, a osiągnięcia własnego, autonomicznego istnienia; dążenie to jest właśnie żywiołem historji. Cała ta gra, którą zwiemy historją, odbywa się więc — mówiąc językiem doktryny Wrońskiego — pomiędzy *bezwładem warunków fizycznych* (przyrody ludzkiej), a *samorzutnością rozumu stwórczego* (wolności ludzkiej).

Aby wykazać, że to praca właśnie jest konkretnem wiązadłem ontologicznem między przyrodą a historją, że „praca jest tym językiem, na który odpowiada przyroda", Brzozowski oczyszcza wprzód żmudnie teren epistemologiczny, t. j. przeprowadza radykalną krytykę teorji poznania. Wszystkie dotychczasowe teorje poznania są według niego „szpetnym przeżytkiem", mitologją filozoficzną; noszą one na sobie piętno kontemplacyjnego intelektualizmu, tej nieszczęsnej wizji świata gotowego, od której Brzozowski chciałby uwolnić filozofję nowoczesną raz na zawsze.

Krytyka teorji poznania.

Wiemy już, że krytycyzm kantowski był dla Brzozowskiego naturalnym punktem wyjścia. Zmysłowość i intelekt, kategorje pojęciowe i intuicje czasu i przestrzeni, refleksja transcendentalna, władza sądzenia, wyobraźnia, uczucie i poznanie, wszystko to znajduje się w nas samych, determinuje tedy dla jaźni taki a nie inny obraz świata, który jest splotem zjawisk wyprodukowanych przez powyższe mocowładności psychiczne. Sam proces myślenia i oglądania ma za podstawę pewne fundamentalne *związki myślowe*, które wyznaczają nasz stosunek do świata w sposób konieczny i a priori. Ale Kant zatrzymał się na tem. Gdzie mają swe źródło te podstawowe związki pojęć, dlaczego są takie a nie inne, tego myśliciel królewiecki nie rozstrzyga. Związki te stanowią poprostu *formę* naszej wiedzy, jej stały i konieczny mechanizm działania, ponieważ zaś nie umiemy wytłómaczyć pochodzenia tego mechanizmu, musimy przyjąć, że został on nam *dany* przez siłę wyższą, jako odwieczna cecha gatunku „homo sapiens".

Był to cios zadany przez Kanta swojej własnej, genjalnej idei. Powróciliśmy do punktu wyjścia tradycyjnej metafizyki przedkantowskiej, gdzie jedynym elementem rzeczywistości jest *byt*. To co jest dane, to oczywiście świat gotowy, zastany, od którego krytyka rozumu miała przecież wyzwolić filozofję transcendentalną. Myśl nie umiała dokonać czystego aktu transcendencji, przekroczyć sfery chrematyzmu i znaleźć się w dziedzinie samorzutności twórczej, gdzie wiedza nasza nie *jest*, lecz się *samostwarza*, i gdzie podstawowe związki myślowe są *nią samą*, ujmującą świat z różnych stron, zapomocą różnych form czynności psychicznej.

Teorja poznania znajduje się w błędnem kole. Chcąc wytłómaczyć genezę naszego ujmowania świata, jako przedmiotu poznawanego przez podmiot, powraca ona wciąż na stanowisko, z którego podmiot poznawania, jaźń ludzka, *staje się sama przedmiotem*. Brzozowski powiada, że teorja poznania, uznając nawet władze psychologiczne i podstawowe związki pojęć za wytwory własne wiedzy, za skonstruowane przez nią zegarowe mechanizmy, pyta zaraz potem: „A kto nakręca zegarmistrza?"

Jest to typowy punkt widzenia ludzi, którzy myślą o świecie, ale go nie tworzą. Są oni, jak ktoś, co sam przyniósł jakiś przedmiot w dane miejsce, a potem — zapominając o tem — zapytuje: Skąd się to tutaj wzięło? To „beznadziejne spektatorstwo" jest — zdaniem Brzozowskiego — przezwyciężone przez jego filozofję pracy. Wszystkie organy psychiczne, a nawet wszystkie podstawowe związki myślowe są dziełem istot żywych, które je sobie *wypracowały*; powstały one w długim, miljony lat trwającym okresie prehistorycznym, oraz w okresie historji. Są one rezultatem pracy, t. j. czynności wytwarzającej w nas i poza nami pewne określone zmiany.

Nic nie może być poznane, co nie jest wytworzne przez nas samych — oto aksyomat Brzozowskiego. *Działalność wytwórcza* jest jedynym, żywym konkretem metafizycznym; wszystko pochodzi od niej i nic nie stało się bez niej. Pojęcie działalności (czynności) pokrywa się z pojęciem istnienia. Człowiek, aby żyć, musi działać i wynajdywać coraz to nowe sposoby działania. Niema biernego, nieintencjonalnego (bezcelowego) poznawania. Wszystkie nauki są tylko formami działalności ludzkiej. Działalność ta jest celem sama dla siebie, a raczej ma swój cel w hypostazie własnej, jaką jest czysta, niewarunkowa czynność stwórcza, kreacjonizm absolutny. Nauki są sposobami działania odnoszącego się do świata, który już jest dany (do przyrody), filozofja to działalność skierowana na świat, którego niema, który dopiero powinien być stworzony (historja).

Intelekt i zmysłowość, kategorje rozsądku, intuicje czasu i przestrzeni i t. p. to tylko utrwalone, zafiksowane czynności jaźni stwarzającej samą siebie, etapy zdobyte przez nią na drodze do rzeczywistości absolutnej. Stałość i bezwład biomechaniczny ich funkcyj polega na tem, że przez powtarzanie w ciągu niezliczonych stuleci do czynności samorzutnych wiedzy dołączył się byt. Co dziś dokonuje się automatycznie w naszej psychice, było niegdyś wypracowywane przez tytaniczny wysiłek istot żyjących; w wytworzenie się w nich oglądu czasu i przestrzeni istoty te wkładały wówczas taką ilość pracy, jaką my wkładamy dzisiaj w myślenie transcendentalne.

„Człowiek wobec przyrody, wobec tego nieznanego żywiołu, który go otaczał, nabywał wiedzę, przez długie wieki, poprostu żyjąc t. j. wykonując mnóstwo czynności, prowadzących do zaspokajania jego potrzeb. Te czynności, które powodziły mu się, zapamiętał on i to było jego poznawanie świata".

Idzie tu więc o czynność skuteczną, o „język, na który odpowiada przyroda". Czynnością taką jest praca. Pojęcie pracy stanowi klapę bezpieczeństwa przed idealizmem transcendentalnym. Nie wszystkie czynności psychiczne wiodą od Ja do Nie-Ja. Są przecież fantastyczne ruchy wyobraźni, na których gruntując się, nie osiągniemy żadnych realnych skutków w naszem działaniu. Pracą nazywamy więc tylko tę czynność, która ustanawia stosunek równoległości między Ja i Nie-Ja, taki, by ruch myśli w Ja wywoływał zamierzone przekształcenia w Nie-Ja. Jest więc praca istotnym związkiem ontologicznym podmiotu z przedmiotem, środowiska autogenicznego (historji) ze środowiskiem kosmicznem (przyrodą).

Dlaczego przedmioty stosują się do pojęć? — Bo geneza jednych i drugich odbywała się we wspólnym tyglu pracy. W ten sposób ludzkość uczyła się zasad: przyczynowości, tożsamości, sprzeczności i t. p. na własnej skórze. Czy to empiryzm? Nic podobnego; nie idzie tu o zapamiętane doświadczenie, mające jakoby stanowić grunt pojęć a priori, lecz o możliwe, utrzymujące się w bycie sposoby działalności, których ludzkość uczyła się, jednocześnie z ich wytwarzaniem przez samą siebie.

„Praca wypełnia przedział pomiędzy jednym stanem uczucia, a *innym:* łączy je. Ona wnosi w myśl naszą ciągłość określoną. Czyni myśl myślą, t. j. wiązaniem pojęć. Praca uczy nas, że jedno pojęcie pozostaje w związku z innemi, i że stosunek ten jest zawsze określony... Ona stwarza w nas określony i powiązany świat. Dziwimy się, że znajdujemy w nim plan, rozum celowość? *Te same czynności, które wytwarzały formę naszej myśli, zdobywały treść naszej wiedzy.* Treść naszej wiedzy o przyrodzie, to zmiany i stosunki wytwarzane przez pracę, to nałogi, metody pracy".

Taka nadrzędność pracy w stosunku do całego układu naszych mocowładności psychicznych, czyni z niej istotnie jakiś Logos doczesnego świata, przejaw samorzutności stwórczej w warunkach fizycznych — wymaga więc jeszcze dokładniejszego rozpatrzenia.

Jerzy Braun.

ANTONI MADEJ

Joanna d'Arc

Węże pełzną krawędziami gór,
żmije prześlizgują się grzbietami chmur.
Ze wschodu, zachodu, południa, północy
skrzydła strzaskane spadają w niemocy.

*

Nad miastem Rouen
złe wichry pioruny szczują.
Świt srebrny jęczy w trwogach.
Sroży się gniew Boga.

*

Gdzie są trąby zwycięskie
i dzwony z wieży Reims?
i dzwony Orleanu?
chorągwie rozwiane?
drużyny rycerskie?

Udręką kamienie wrą.
Cierpieniem dyszy dzień.
O, wiosno z Compiègne!
O, wiosno z Chinon!

Torturą piekielnych sfer
liże ogień ciało dziewczęce.
— Tam wdali czy to wicher jęczy
na drodze do Vaucouleurs?

*

W Dom-Rémy były inne święta,
były dni kolorowe jak mak.
Z Dom-Rémy szły drogi w świat
daleki, nieobjęty.

W Dom-Rémy pod nieba namiotem
śni gniazdko — jaskółcza wioska,
i w srebrnych brzozy oplotach
figura Matki Boskiej.

*

Szumi wicher straszliwy od mórz.
W chmurach węże się prężą.
Skrzydłami bije w mrok i noc
Anioł Stróż.

*

— Joanno, zwyciężaj!

*

Czyj głos to? Czyje wołanie?
Przemawia Bóg błyskawicą:
Oto ci miecz i sława,
dziewico,
hetmanie!

*

Odmętów rozchyla się głębia,
pazurami rozdzierając ból.
Rozpacz bitewnych pól
mrozem śmierci ziębi.

Joanno,
Bóg cię doświadcza próbą
i łamie jak miecz
śmiertelnym trudem.

*

Rouen — to miasto ogrodów —
Rouen — to miasto zieleni —
lecz może być także grobem,
przeklętą ziemią.

Goreje stos pomału.
Zamienia się dym w czad.
Ognia wężowy jad
przeżera dziewczęce ciało.

*

Żałośnie kłońcie się kwiaty.
Toczcie się łzy fontanną.
Na ścieżkę w zaświaty
wstępuje Joanna.

*

Węże pełzną krawędziami gór,
żmije prześlizgują się grzbietami chmur.
Ze wschodu, zachodu, południa, północy
skrzydła strzaskane spadają w niemocy.

Legenda i Prawda

Na tak apodyktyczne stanowisko Szan. Autora zdecydowałem odpowiedź teorytyczną, dla subjektywnego zaspokojenia prawdy.

Szanuję wszystkie przekonania polityczne, socjalne religijne, nawet estetyczne Nie rozumiem jednak przekonań w naukach, w których głos winny mieć tylko zasady, fakty, dowody, sprawdziany. Tutaj zaliczam również krytykę literacką, która bez dowodów, może być tylko hypnozą, mistyką lub zwykłym uporem, niemogącym rościć sobie pretensji do szacunku. Z tego to względu tezę swą o Wyspiańskim i Mickiewiczu oparłem na dowodach, i sądzę, że ona runąć może jedynie z ich podkopem. W artykule Sz. P. kładącym apodyktycznie tezę moją między bajki, brak jakichkolwiek dowodów. Są jednak mocne twierdzenia — apodykty, których zebrał się cały dekalog; te pragnę z całą powagą i poszanowaniem przedyskutować. Oto one:

1. Teza Wyspiański contra Przybyszewski jest plotką, która nie ma nawet w anegdotycznej rzeczywistości najmniejszego poparcia.

2. Wyspiański pragnął mieć Genjusz ucharakteryzowanego na wzór niemodyfikowanego jeszcze rygierowskiego posągu Mickiewicza.

3. Wesela i Wyzwolenia nie wolno ściągać do poziomu aktualnej sztuki krakowskiej, bo przeznaczone są, aby przetrwały wieki.

4. Przybyszewski samby się zdumiał na wiadomość, że to on, pigmej, już za życia w gigantyczne *widmo* urósł — Genjusza z Wyzwolenia.

5. Nie on jest widmem, ale Mickiewicz; który jako widmo powiada: „byście słowem walczący szermierze do Boga podnieśli człowieka, śmierci przyjmując przymierze".

6. Około roku 1903 wpływ Przybyszewskiego był żaden.

7. Wyspiański w Weselu pokazał Przybyszewskiego i przybyszewszczyznę w postaci Nosa.

8. Mickiewicz jest antagonistą samego siebie: chciał uzgodnić dwa przeciwne sobie dążenia Polski, które Wyspiański widzi jako niesprzymierzalne.

9. Walka Mickiewicza rozdwojonego w Wyzwoleniu na Mickiewicza — Konrada i Mickiewicza — Przeznaczenie, nie jest walką z poezją grobów.

10. Imputować Wyspiańskiemu wprowadzenie Przybyszewskiego do sztuki pod maską chochoła i Genjusza, to przypisywać mu zniewagę Mickiewicza stokroć gorszą od tych, o które go pomówiono.

Uzbrajam się w cierpliwość i pokorę, by najobjektywniej i najlojalniej zaznaczyć swe stanowisko.

ad 1) Mógłbym wprawdzie przytoczyć odmienne sądy (ten odosobniony), między niemi wcale przychylny nawet redaktora „Zetu" oraz profesorów uniwersytetu z bardzo niepoślednią sławą, rzetelnych poetów, którzy się tezą moją, i wywodami wprost entuzjazmują. Zamilczam jednak, bo nie są to opinje publiczne — chociaż nie wątpię, że się niezadługo pojawią. Ale i przeciwników pragnę, jak Witkiewicz Chwistka, sprowokować do ataku, — nie z pychy lub pustoty, lecz w imię dewizy z „Klątwy Legendy". — Jeśli się nie uda, to co? Ha, będę miał ten z trwogą i obrzydzeniem przeczuwany dokument, że nie miłość Prawdy, lecz „punkt honoru" i... coś tam więcej włada sumieniem publicystycznem, czy nawet i literackiem, co znane zresztą u Krzyckich, Trembeckich, Puszkinów i... Nie mówmy dalej, może to z głodu... Wolno uderzyć we wielki dzwon; rzecz jest doniosła.

Takie mnóstwo tajemnic nie wyjaśnionych! Jeśli nie rozwiążemy kwestji „Chochoł — Genjusz", nie tylko Wyspiański, którego teatr — zdaniem Pańskim „jest wogóle rzeczą tak straszną, iż lepiej się nim nie zajmować", lecz najwspanialszy skarb ducha naszej romantyki zostanie nadal *zalakowany* w toniach ciemności, pilnie strzeżony przez ogniem ziejące smoki. Toż każdy ruch jego budzi lęk i radość. Może komuś uda się wreszcie?! Z tezy mej skapituluję chętnie, jak niniejszem kapituluję z mego Samotnika, potrąconego, przygodnie w Wyzwoleniu, Wyzwolenia. Trudno go było tam pominąć. Domyślałem się Towiańskiego, Mickiewicza, Norwida, Micińskiego, bo z każdym z nich wykazywał obok kontrastów dużo wspólnoty. Przeważyło, choć niezbyt pewnie, tajemne imię „44". — Wkrótce jednak potem, Tadeusz Zaderecki pokazał nam w nim ponad wszelką wątpliwość Lutosławskiego. — A więc i on dramatis persona?! — Tak twierdzi Zaderecki, który ma chyba dostateczną wiedzę i pewien zasiąg „dychterlandów". Nie zawahał się aktualizować arcydzieł. Czemuż nie miałoby się udać autorowi „Z mroku jaśniejącego Słowa"? — Toż roiłem ujrzeć argumenty, konieczne w każdem naświetlaniu. Tymczasem moje tylko zignorowano do cna wyniośle, nic ze swego nie dając.

Jak tu nie replikować?

ad 2) Wyznanie to witam, jako obfity strumień na mój młyn. To bardzo wiele. Również orzeczenie ad 9) sprzeczne z ogólnym sądem krytyków, ma dla mnie dużą wartość. (Por. „Klątwa Legendy", str. 56).

ad 3) Sądzę, że aktualność, jako punkt wyjścia, nie jest profanacją sztuki; zresztą nie mój to wynalazek. Trudno ją też zaprzeczyć, w oczy bije. Mickiewicz był aktualny w Dziadach, Słowacki w Beniowskim, Krasiński w Nieboskiej, Dante w Boskiej, Homer też podobno wedle archeologów. Rycerze, Chmury, Ptaki i inne gady Arystofanesa, choć wskroś aktualne nie przestały być wysoką sztuką; przetrwały wieków dziesiątki; upadną wraz z cywilizacją ludzkości, chociaż tej głębi i horyzontów, które cechują naszych romantyków nie było może w peryklejskich Atenach. Nadto, jeśli naprawdę chwila ta, którą naświetlił Wyspiański, miała być osobliwą; jeśli naprawdę losy Polski od niej zawisły: aktualność ta godną zaiste była uwiecznienia w sztuce.

ad 4) Poza humorem krasomówcy ważne jest tylko *Widmo*, które łączymy z 5.

ad 5) Wielce wydaje się spornem, kto więcej pasuje na widmo: Mickiewicz czy Przybyszewski? — Posąg z jednolitej bryły granitu, Mickiewicz — za wyjątkiem jedynie bardzo chwilowych ugięć ogólnoludzkich w stronę osobistego szczęścia w czasach wileńskich i pewnych zmąceń idei w towianizmie — był od początku do końca tak zwartą i jasną indywidualnością, iż, rzecby można, końcowy okres jego życia rekapitulował młodzieńcze idee patrjoty na szerokiem podłożu reformatora ludzkości. Dość wspomnieć jego napoleońskie miraże, dla których z dumą podpisywał się: Adam Napoleon! Pod urokiem kobiety przygasł w nim na chwilę Gotfryd i Jan Trzeci, których miecze postanowił zamienić na pióro i organizacje naukowe dla wykrzesania tego, czego brak zgubił Polskę: Rozumu i Cnoty. Idea Napoleońska odżyła w nim w ostatnich latach życia w całej pełni (o czem później). Towiańska jego skłonność do reformy konwenansu religijnego i bombastycznych praktyk urzędowej religji, które wyjaławiając ducha, wiodły prostą drogą do bolszewickiego bezbożnictwa, ma najwidoczniej swe źródło w czasach filomato - filareckich, jak to wyraźnie stwierdzają listy jego kolegów z owych czasów. Sam zresztą wyznał, że wiara w naukę Andrzeja jest rezultatem całego życia.

Gruntowna a radice, systematyczna i syntetyczna rewizja jego utworów łącznie z czynami, wolna od sugestji z gruntu częstokroć fałszywej interpretacji, dałaby majestatyczną jednolitość duchowej jego posągowości.

Miejmy nadzieję, że to nastąpi na skutek wydań sejmowych Dzieł Mickiewicza i powolnej, bo zygzakiem idącej realizacji jego poetyckich przywidzeń.

Wielki zaiste na swoje czasy i czyjeś cele, Przybyszewski był jego widmem, jak widmo tęczy i antytezą, jak noc po dniu. Niestety, widmem tylko w mistyce Towiańskiego, antytezą zaś w patrjotyzmie, który jedynie metafizycznie pojmował. Jakże nietrudno było go zamienić z wykoszlawionym przez krytykę Mickiewiczem!

Rzecz dziwna, że u wrót najgłębszych naszych tajemnic zjawiają się do eksploatacji w pierwszych szeregach Żydzi. Widzenie ks. Piotra, jeden z pierwszych i względnie najtrafniej ujął poeta - samouk, Zygfryd Lipiner. Dramaty Wyspiańskiego znów Izrael Lack i Wilhelm Feldman. Żywiołowo usposabia ich do wszelkich tajemnic tkwiący od wieków podkład mistyczny i tragiczne rozdarcie na Żyd i Chrystus, o czem tak pięknie pisał Otton Weininger (także Żyd). Tego rozdarcia oni przezwyciężyć nie mogąc, wiecznie oscylują między Człowiekiem a Talmudem. Najgłębsza żądza Prawdy rozbija się u nich o interes Talmudu i lęk Krzyża w obłokach i wbrew ich woli, zgoła częstokroć podświadomie, zmusza do matactw i herezji sztuki najwybitniejsze talenty, które nierzadko kończą tragicznie. Symbolem tego ducha jest biblijny Judasz Iskarjota. Jeżeli zaś Polska po swem zmartwychwstaniu ma być duchowym Chrystusem narodów, czemuż ktoś najsprytniejszy nie ma jej wyrzec: „Bądź pozdrowion Mistrzu"? — Nie chcę ja przeczyć talentu i pietyzmu Lacka. Ale Lack był za sprytny, za „genjalny", przeto już wolę Wilhelma Feldmana. Jego „Współczesna literatura polska" jest możliwie najlepsza, co przyznał również Kolbuszewski. Jeśli zaś uwierzyć poecie Waśkowskiemu (Przegląd współczesny r. 1930, Nr. 96), Feldman był Janem Wyspiańskiego, „Darzył go miłością bez granic", za co tenże na parę dni przed zgonem wystawił mu wobec poety Waśkowskiego najpiękniejsze świadectwo: „abyś ufał w dobrą wolę i entuzjazm Feldmana"... Ufajmy zatem, bo on „patrzał, słuchał, brał udział, wszystko notował" i tako rzecze: (Przybyszewski) „...to człowiek — *cień*, konstrukcja teorji"... (...Cień? więc *Widmo*, oczywiste widmo! (191). W ostatecznej swej tendencji jest on *spirytualistą*—odrywa od naiwności bytu i używania... od życia czynu. „Królestwo jego nie jest z tego świata". (395). Głosił „kult sztuki, stojącej ponad narodem ‚moralnością, ideą" (396). Był na rozstaju, w Malstromie; stawał się Androgyną, miał swe Wigilje, Godziny cudu, Taniec miłości i śmierci. Owo: „byście słowem walczący szermierze podnosili człowieka, śmierci przyjmując przymierze", tu chyba należy? Był widmem mistyki, w której niebiańska ekstaza hymnów religijnych mieszała się z chichotem piekła. Trudno było odróżnić: Bóg — li to czy Szatan? To nie anegdota, czy plotka Waligóry; to fakt zapisany u Feldmana, któremu ufać trzeba. Nie Nos, o nie! lecz „mag", „prorok", „wyławiacz duchów", który z najciemniejszych otchłani ducha głębokie, nieznane, pełne grozy wydobywa piękności (380 — 81). Ten „fascynujący hypnotyzer" (382) obejmuje w połowie października 1898 kierownictwo Życia, o które próżno zabiegał Wyspiański i drugie ledwo uzyskał miejsce.

ad 6 i 7) „Pigmej", którego Confiteor, uznane za ton objawienia, równe Dziadom, stanowiło datę rozwoju Młodej Polski (383), a Niemcy wybitni, jak Schlaf, Servaes, Dehmel, Otto Jul. Birnbaum, uległszy jego sugestywnej sile, w powieściach swych postać jego w różnych bohaterach portretowali: Nosem ci być musiał nad nosy i wcale mógł się nie zdziwić, że go w nicowany płaszcz Mickiewicza ubierają. Kiedy czytamy: wstaje postać straszliwa (którą on zbudził), apokaliptyczna, wampir, i rzuca się na pierś i ssie krew, ssie chciwie, nienasycenie... ssie (385) jak żywo przypomina się okrzyk Konrada: Harpio, siły nasze ssiesz i spalasz w czczy dym! — Znów gdzieindziej: „nie prostytuować, nie cudzołożyć, nie marnować krwi polskiej". Albo (402): „Około Życia i jego naczelnego redaktora skupiała się gromadka artystów, którzy wyzwalali swą indywidualność twórczą lub naśladowali jej gest i frazes szumny, przysięgając na ideały sztuki, jednej-jedynej, dla której żyć i umierać": czy nie słyszymy gromu Konrada: „Przeklęty i najlepszą brać zabrałeś moją"?

Około 1903 r. nie wyszedł z mody. Między rokiem 1902, w którym powstawało Wyzwolenie, a 1920 ogłosił dwadzieścia kilka poważnych utworów oraz liczne artykuły i manifesty. I dziś jeszcze nie całkiem wyszedł z teatru.

Gdyby poeta w walce Konrada z Genjuszem chciał istotnie dać obraz pasowania się Mickiewicza z samym sobą, względnie dwoistej w nim idei, byłby to pomysł z wszystkich tragedyj najmizerniejszy. Scena ta bowiem daleką jest w swem tragicznem napięciu od wstrząśnień przeżywanych np. z Edypem Królem, Antygoną, Irydjonem, bohaterami z Klątwy lub z Mickiewiczem z Legjonu — staczającymi z sobą walkę. Ona zaś działa litylko jako symbol, ciekawy zresztą swą zagadkowością, lecz nie jako dramat duszy tytana, za co ją chcą mieć przeciwnicy przybyszeidy. Mickiewicz wyszedłby z niej zbyt niewspółmierny. Drwił z Przybyszewskiego Wyspiański, włożywszy nań karykaturę Mickiewiczowskiego posągu, podobnie jak Arystofanes z Sokratesa, czyniąc go bóstwem, zlatującem w koszu z obłoków. Ważniejsze to, iż po ogłoszeniu Confiteor zestawiono jego autora z ekstatycznym Mickiewiczem z improwizacji całkiem serjo! — A że i „swoich czasów śpiewak nie obwini", dowodem będzie cytowany za chwilę Kazimierz Czachowski, który nie zawahał się stwierdzić wyższości Tetmajera nad Mickiewiczem w poezji miłości! Jak tu teraz posądzać Wyspiańskiego o zniewagę Mickiewicza w tem, że go zestawia z Przybyszewskim?!

Związek Wesela z Wyzwoleniem nie ulega kwestji; przyznają go wszyscy zgodnie. Zasadniczym pomostem między temi utworami jest oczywiście Chochoł - Genjusz. Akcją dramatów jest też prawie jednomyślnie przyznawana współczesność Polska, do której odniósł się poeta satyrycznie, w duchu Arystofanesa. Autorami tej tragifarsy, niemal imiennymi są, jak niegdyś Sokratydzi, osobistości dobrze nam znane na bruku krakowskim. Sztuka wszelako jest tak postawiona, iż zdaniem Kazimierza Czachowskiego (Gazeta Literacka Nr. 3 rok 1931) „z pod satyry wyrasta najgłębsza, najistotniejsza prawda o człowieku, dojrzana okiem genjalnego wizjonera". Na określenie to trudno się nie zgodzić bez jakichkolwiek zastrzeżeń. „Znamienny jest nadto fakt, że w roku Wesela, w roku najbujniejszego rozkwitu poezji w Polsce, jej typem reprezentatywnym w dramacie Wyspiańskiego nie stał się nikt inny, lecz właśnie Kazimierz Tetmajer" — twierdzi bez zająknienia najpewniejszy siebie K. Czachowski. A motyw? — „Przez całą swą twórczość 45-letnią Tetmajer był zawsze i nie przestał być nigdy poetą. Jako poeta miłości uderzył on w tony w literaturze polskiej nieznane, choć już zaznaczone w twórczości Mickiewicza". — Raptem dzieje się cud! Na teren tego udzielnego księcia poetów polskich zjeżdża ktoś poprzedzony rozgłosem zagranicy. Temu ktosiowi, podobnie jak niegdyś Rej Kochanowskiemu, ówże książę poetów „daje przed sobą dank" i na łamach elickiego pisma „Życie", wita go mianem „Genjusza"! Pomyśleć teraz, miałże „Genjusz" ten nie wejść w skład teatrum Wyspiańskiego? — A jeśli tak, to czy w roli Nosa? Zaiste, tu dopiero ubawiłby się Wyspiański... „Drei Vögel auf einem Schuss". Zgasił obydwóch i siebie zarazem. „Cymbała" (sit venia verbo), którym jest Nos, zaawansował na Genjusza i przed nim upadł na twarz, ukoronował w „Weselu" jako istotnego Poetę, tamtego zaś mianował pijackim Nosem, chociaż on czerwonością swą nie dorównał Tetmajerowemu. I nie wstydże to, panie Wyspiański!? — A może to zemsta, iż najpierw nazwało się w „Życiu" „przybłędę" Ganjuszem a potem dopiero w warszawskim Tygodniku Ilustrowanym przyznało się Wyspiańskiemu tytuł wielkiego poety, na równi z sobą? — Coś tu niewyraźnie z tymi poetami... Czy nie lepiej byłoby może poszukać błędu w impresarjach?

Gdyby nawet Mickiewicza o Mickiewicza uderzać pragnął w Wyzwoleniu, wielką niekonsekwencją byłaby jego apoteoza w Legjonie, której się już dziś coraz śmielej dopatrują nawet ci, którzy „Legjon" za pierwszy bój Wyspiańskiego z Mickiewiczem uważają.

Legjon, brany pierwotnie i powszechnie przez krytykę jako taran Wyspiańskiego przeciw romantyzmowi Mickiewicza, po dokładniejszem rozpatrzeniu zyskuje nazwę apoteozy. Jest nią istotnie. Jest jak gdyby profilaktycznym głosem Wyspiańskiego: Baczcie „byście mię fałszywie w Wyzwoleniu nie zrozumieli"!

Najsłynniejsze, dogłębne arcydzieło, wyłączna, arcyurocza lecz przebolesna Golgota Mickiewicza, w której modli się autor Wyzwolenia przed majestatem zgruchotanego kolosu ogólnoludzkiego Ducha, upostaciowanego w Pątniku papieskim, by w jego stolicy świata wybłagać ratunek ginącemu chrześcijaństwu w postaci Polski. Poezją, jak górskiem powietrzem oddychający i nią żywiący się jak chlebem powszednim przez całe życie, twórca ten, pokutnik i dobrowolna, choć zgoła zbyteczna ofiara śmierci, jak głodujący Gandhi w więzieniu: porzuca w oczach swego najgodniejszego następcy tę poezję, wypędza precz najukochańszy dotąd rój czarodziejskiego świata, i do brutalnego schodzi oręża, by krew przelewać i z garstką straceńców na niechybną śmierć iść dla zmartwychwstania Młodych... Otóż nie. Legjonem proszę mi nie atropinować źrenic; szeroko mam otwarte i widzę dobrze nietylko scenę VII i XII; ja widzę i scenę VIII, tak lekkomyślnie przez znawców pomijaną. W niej gromadzi się drugi Legjon nadprzyrodzonego świata czaru. Poetyczne boginki, świtezianki, guślarze, znachory, wiedźmy, starcy i dzieci: cisną się pod skrzydła Wyspiańskiego i z nim jak z opiekunem tłumnie biegną za odchodzącym na cmentarze swym Czarodziejem, szalonym szaleństwem Krzyża pokuty (za 1831 r.?) i poświęcenia — i serce rozdzierającym głosem błagają, zaklinają, złorzeczą: „Opuściłeś nas i porzucił, a my od Świtezi za tobą tu szli, my z tobą płakali, gdy serce chorzało, my z tobą radowali, gdy serce się śmiało. Wróć, wróć ty nasz i swoich znasz, Wróć, wróć do chat do młodych lat, — Nieszczęsny sterniku śmiertelnej łodzi, zawróć, szaleńcze od niewczesnego miecza do poezji!"

Tak to widzi i słyszy, i woła z tą poetycką drużyną bóstw litewskich w swym Legjonie Wyspiański. Miałżeby znów za chwilę piorunować obłędnie w Wyzwoleniu: Poezjo precz!? O tak, istotnie tak! On pędzi poezję, ale nie poezję życia, młodości, przyrody, gajów litewskich; lecz tę urbaniczną, trupią, zgniłą poezję nirwany, która powrotną falą gruchnęła na nas z lewa w Odrodzonej Polsce.

Lecz wraca zwolna Mickiewicz: wiodą go pod bok przyjaciele: Norwid i Wroński, Wyspiański toruje drogę. Niwelacja i przebudowa idą w szalonym tempie. Czucie i wiara jeszcze daleko. Lecz idzie, idzie renesans serca. On przywróci rozumowi źrenicę, przybitą urbaniczną kataraktą nietscheańskiego obłędu, pod którego batutą tańczyliśmy z Przybyszewskim krakowskiego chochoła.

(Dokończenie nastąpi).

Michał Waligóra.

---

*) W odpowiedzi na artykuł A. Ł. C. p. t. „Genjusz i Plotka" („Zet" nr. 13 rok III).

Z teatru

„U mety" luźne uwagi

1.

Ilekroć mówimy o realizmie, musimy przeprowadzić zasadniczą dystynkcję w jego pojmowaniu. Musimy więc wyodrębnić programowo realistyczne sztuki, to jest te, które mają na celu możliwie wierne odtworzenie życia, od tych (niezmiernie dziś rzadkich i trudnych), w których konstrukcja wraz z zawartością pojęciową, jest bezpośrednim wyrazem metafizycznego wzruszenia autora. Z tego punktu widzenia, nie możemy odmówić realizmowi walorów artystycznych — formalnych.

2.

Mówiąc o twórczości Rostworowskiego, musimy nawiązać do antycznego dramatu. „Mamy bowiem — jak pisze prof. Zieliński *) wśród pierwszych elementów tragedji, ujęcie tragicznej klęski, jako tragicznej kary, spowodowanej przez tragiczną winę"... „tragicznemi zaś nazywam te, których treść jest skupiona dokoła dwóch następujących ośrodków elipsy tragicznej akcji: winy i kary w ich estetycznem, nie zaś koniecznie moralnem znaczeniu" **).

Tyle o problematyce. Jeśli chodzi o trylogiczny podział, musimy sięgnąć do źródeł dramatu, a więc do Ayschylosa. Przyjmując układ trylogiczny Rostworowski odrzucił schamt Sofoklesa, który przyjmował winę za spełnioną, i w scenach stwierdzenia winy, bliskich początku, umieszczał psychologiczny pierwiastek grzechu, jako przyczynek do charakterystyki bohatera.

Mówiąc o trylogicznym układzie, nie zapominajmy, iż sztuki greckie były o połowę krótsze od dzisiejszego dramatu, i tu należy szukać źródeł takiego podziału. W trylogji Rostworowskiego układ ten nie wydaje mi się dostatecznie umotywowany.

Przeciwnie, całość zyskałaby na kondensacji. „U mety" robi wrażenie sztuki pisanej na zimno, sztuki sztucznie rozbudowanej. Nie możemy się oprzeć wrażeniu, że Rostworowski w trakcie pisania daleki był już od problemu ostatniej swej sztuki. Przeżył go dawno. Prawdopodobnie przy pisaniu „Niespodzianki".

„U mety" to echo potężnych wstrząsów.

3.

Dwa ośrodki elipsy tragicznej akcji znalazły w sztuce Rostworowskiego znaczenie *moralne* (najświętszy nawet cel nie uświęca środków), ale ten właśnie aspekt moralności chrześcijańskiej odbarwia trylogję z prawdziwego tragizmu, którego istotą jest irracjonalizm.

Tragedja Rostworowskiego jest więc tragedją wolnej woli. Dlatego nawrót do trylogicznego podziału Ayschylosa nabiera specyficznego znaczenia. Bo przecież właśnie w Ayschylosowej „Oresteji" *tak samo* akcją kierował człowiek (za *zgodą* bóstwa).

Identyczna problematyka implikuje identyczną formę.

Tragedja Rostworowskiego nie jest więc tragedją losu, wbrew ogólnemu mniemaniu.

Nie widzimy tu predestynacji, żelaznej dłoni losu, która popchnęła do mordu: Edypa.

Jasnem się teraz staje dlaczego Rostworowski nie mógł przyjąć Sofoklesowskiej *formy.*

Teatr Rostworowskiego, to dramat woli.

Teatr Sofoklesa, to dramat losu, transcendentnego fatum.

---

*) Elementy dramatyzmu w trag. greckiej.

**) ibd.

„Sprawa Dantona"

Czy należało dla paru truizmów włożonych w usta Robespierra ryzykować wystawę scenicznego tasiemca, rozbitego na szereg niepowiązanych formalnie obrazów, to rzecz conajmniej wątpliwa.

Z poważnych i rażących nieścisłości historycznych, nie moglibyśmy robić zarzutu, gdyby Stanisława Przybyszewska budowała swój dramat jako dzieło Sztuki Czystej, dopuszczającej dowolne konstruowanie elementów, przez odrzucenie realistycznego kanonu tak zwanej „prawdy życiowej", warunkującej swobodę artystyczną, sztywnym schematem rzeczywistości.

W dramacie formistycznym mógłby sobie Danton rozprawiać o teorji Planck'a, Desmoulins, cytować Majakowskiego, a Robespierre wystąpić w roli cnotliwego kwakra - wegetarjanina. W realistycznej kronice scenicznej, jaką jest sztuka Przybyszewskiej, grube nieścisłości historyczne, nieumotywowane logiką artystyczną, są poważnem nieporozumieniem.

O jakości dzieła sztuki stanowi przedewszystkiem dyspozycja autora. Jeżeli powstało ono *z konieczności* zobjektywizowania uczuć jego twórcy, mamy Sztukę Czystą, jeżeli z chęci wyłożenia jakiejkolwiek teorji „sceniczną" *filozofję* bądź *publicystykę* (w zależności od gatunkowego ciężaru problemu). W drugim wypadku konstrukcja traci samorzutność i podporządkowana jest ściśle założeniom tematycznym. Następuje zabójcze zróżnicowanie treści („co") i formy („jak"). Do tej klasy utworów musimy zaliczyć sztukę Stanisławy Przybyszewskiej.

Pierwszym i kardynalnym zarzutem, jaki możemy postawić „Sprawie Dantona" jest brak *jedności*. Sztuka została rozbita na 18 — jeśli się nie mylę — obrazów. Podział dramatu na szereg szybko po sobie następujących odsłon, tak charakterytsyczny dla epoki reportażu, faktomontażu i tym podobnych straszności, jest rzeczą bardzo niebezpieczną, gdyż pociąga zazwyczaj za sobą *widowiskową* łatwiznę i paraliżuje możność scałkowania elementów konstrukcyjnych w formalną jedność. Z drugiej jednak strony, budowa taka może ożywić martwą zazwyczaj oprawę sceniczną przez organiczne związanie jej z akcją. Niestety, w „Sprawie Dantona" obrazy nie wiązały się wzajemnie.

St. Przybyszewska nie *skomponowała* swojej sztuki, dała tylko szereg logicznie (w sensie życiowym), a nie artystycznie (formalnie) powiązanych obrazów.

Dzieło sztuki podobne jest do zegara, w którym usunięcie jednego trybu wywołuje unieruchomienie mechanizmu. Dowodem niekonstruktywności „Sprawy Dantona" jest fakt, że reżyser mógł wyrwać z całości cały szereg obrazów. Dlatego sztuki St. Przybyszewskiej słuchało się z rosnącym znudzeniem.

Nie bylejakiego trzeba było wysiłku ze strony autorki, reżysera i wykonawców, by wstrząsający konflikt gigantycznych indywiduów odbarwić z dziejowego patosu.

Nie można mówić o reżyserji, należałoby raczej wspomnieć o jej braku. („Ten sobie mówi, ten sobie mówi, pełno radości i krzyku"). Rażą przedewszystkiem łatwe do uniknięcia dłużyzny i nie zrytmizowane sceny zespołowe.

Trudno byłoby wysiedzieć do końca, gdyby nie doskonała gra Junoszy-Stępowskiego. Jego Robespierre pozostanie nam nazawsze w pamięci. Reszta zespołu poza I. Borowską (bardzo dobry epizod w pierwszym akcie) — słaba.

Samborski od pierwszych słów pojechał tak zwanym „fajerem", wywrzaskując wszystkie kwestje z jednakowym zapałem. Danton w jego interpretacji, „jak byk przed bitwą ryczy, miota się, grunt ryje". Nie pomogło tradycyjne sapanie i wywracanie krzeseł. Trudno. Największe nawet wrzaski nie mogą zastąpić psychologicznego pogłębienia roli.

Bolesław Miciński.

Kąpiel w mazi

Jeszcze jedna rozmowa z J. E. Skiwskim

Pod niewinnym nagłówkiem „Dyskusje“ drukuje Skiwski w 3-cim numerze „Pionu“ nową napaść na mnie i na wszystkie pisma, w których moja skromna osoba ma coś do powiedzenia. Powiadam „napaść“, bo trudno nazwać dyskusyjnym artykulik, rojący się od tak figlarnych epitetów, jak: „piekielny galimatjas“, „pośledni gazeciarze“, „manjactwo mesjanistyczne“, „mesjanistyczna packa“ i t. p. (pierwszy raz napadł Skiwski na „Zet“ i na mnie w „Tygodniku Illustr.“).

Stwierdzam ten fakt napaści zaraz na wstępie, bo wciąż wprowadza się w błąd opinję publiczną okrzykami zgorszenia, że „Zet“ atakuje brutalnie różnych czcigodnych i łagodnych, jak baranki, ludzi. Napisaliśmy o „Pionie“ przychylną notatkę, chwaląc to pismo — z pewnemi drobnemi zastrzeżeniami. Wzamian za to tenże „Pion“ zaczepia nas w brzydki sposób wzmiankowanym artykulikiem Skiwskiego. Czy to ładnie? — niechaj osądzą czytelnicy. Szarpią nas ze wszech stron, „przezywają“ nas słowami nie do powtórzenia (patrz „Kurjer Poranny“, inicjały W. R.), a równocześnie krzyczą, że „Zet“ napada, że Jerzy Braun wali po łbach na prawo i na lewo i t. p. nieścisłości. Jest w tem spora doza perfidji. Na kilkanaście polemik w „Zecie“, dwa razy tylko my byliśmy stroną atakującą (wystąpienia przeciwko Boyowi i Miriamowi), we wszystkich pozostałych wypadkach były to tylko odpowiedzi na różne napaści, insynuacje i paszkwile. Ale dość o tem, przejdźmy do rzeczy...

P. Skiwskiemu podziałało na nerwy ukazanie się nowego numeru „Gazety Literackiej“, w którym grupa literatów krakowskich zadeklarowała swą łączność ideową z „Zetem“. Pewni ludzie ucieszyli się wieściami, że „Gazeta Lit.“ przestanie wychodzić, tymczasem nietylko nie przestała, ale nawet „zbraunila się“ (wyrażenie Skiwskiego); rozumiem doskonale, że to może doprowadzić do białej pasji, ale poco się tak nieudolnie demaskować? Trudno, moi panowie, rzeczywistość polska jest inna, niż się wam wydaje, wymyka się wam z palców. Dowodzi to, że nie my, lecz właśnie wy nie dotrzymujecie kroku rzeczywistości, że nie umiecie obserwować życia.

Skiwski, choć niby tak bystry obserwator, nie dostrzega wielu rzeczy w Polsce i w świecie. Chciałbym mu dopomóc, aby zorjentował się nareszcie, że pomawiając bliźnich o ślepotę, sam źle widzi.

Czego nie dostrzega Skiwski? — Oto przedewszystkiem tego, że wypadki w świecie rozwijają się zgoła inaczej, niż on to przewidywał (proszę sięgnąć pamięcią wstecz i stwierdzić, czy nie mam racji?), że natomiast biegną sobie równiutko po tej linji, którą wytyczyliśmy im — hypotetycznie — w pierwszych numerach „Zetu“. Nie dostrzega, że myśli wypowiadane w „Zecie“ z początkiem r. 1932, a wyśmiewane wówczas przez różnych mędrków, dziś stały się truizmem takim, że znajduje się je rozsypane po artykułach wstępnych wielu stołecznych i prowincjonalnych dzienników. Pamiętam, że gdy określiłem (w artykule „Dlaczego?“) współczesność europejską, jako układ dwu wrogich światów ideowych, z Polską pośrodku, jako szańcem przeciwko obydwu i kluczem nowej epoki historycznej, — pewien urzędnik departamentu sztuki i kultury prosił współpracowników „Zetu“, by powstrzymali Brauna od drukowania tak szaleńczych pomysłów; nie minęło półtora roku, a faszyzm zatrząsł niemal połową Europy, i oto Polska znalazła się między hitleryzmem na zachodzie, a komunizmem na wschodzie, jak między młotem a kowadłem. Dziś „Polska między Wschodem a Zachodem“ realizująca „własne posłannietwo historyczne“ jest na ustach wszystkich. Podobnie było z problemem słowiańskim. Po pierwszych numerach „Zetu“ drukowano w pismach karykatury z podpisem: „Braun prowadzi narody słowiańskie do ery Parakleta“. Dwa lata temu, gdy w rozmowie z pewnym urzędnikiem M. S. Z. wyraziłem zdziwienie, że nie prowadzi się polityki „słowiańskiej“, usłyszałem taką mniej więcej odpowiedź: Punkt ciężkości leży w Genewie i na zachodzie, kraje słowiańskie (i wogóle Europa środkowa) znajdują się poza nawiasem wielkich problemów polityki zagranicznej, a więc nie mogą obchodzić trzeźwo myślących ludzi. Wyraziłem wówczas przeświadczenie, że to się wkrótce zmieni. I znowuż nie minęło półtora roku, a „punkt ciężkości“ nieco się przesunął; o państwach słowiańskich mówi się i pisze dziś w Polsce wcale dużo.

A hasło: „frontem do twórczego człowieka“, rozbrzmiewające nawet na naszych zjazdach gospodarczych, jak pan myśli, czy to przypadkiem nie z „Zetu“? A sam ów „Pion“, w którym pan drukuje artykuły, co miałby do przeciwstawienia „Wiadomościom Literackim“, gdyby „Zet“ i „Gazeta Literacka“ nie przygotowały gruntu dla odrodzenia idei narodowej i dla renesansu wartościowych pierwiastków polskiego romantyzmu?

Tego wszystkiego Skiwski nie dostrzega. On nie chce widzieć, że grunt tej — cytowanej wciąż przezeń — rzeczywistości, jest już nawskroś przesycony skutkami naszej pracy . Biedny krótkowidz, wyrzuca nam niezdolność obserwacji, oderwanie od konkretu. Niechże przeczyta sobie słowa W. Horzycy w 1-szym numerze „Pionu“: „tylko do nierzeczywistych należy rzeczywistość“. Niech się obudzi, bo niedobrze jest żyć we śnie.

Nie piszę tego, aby dochodzić zasług „Zetu“, lecz dla samej prawdy. Bo czy to ma sens, żeby Polska, karmiąc się i sycąc roztworem tej ideologji, której ekstrakt podajemy na łamach „Zetu“, równocześnie krzyczała, że nie mamy pojęcia o rzeczywistości, żeśmy „przespali historję“, że „nie mamy nic do powiedzenia“. Ależ napewno mamy, skoro cząstka tego co mówimy i piszemy, wystarcza by wywołać rewolucję w pojęciach ogółu, skoro jedna myśl, jedno ziarenko tego posiewu zapładnia wasze tasiemcowe artykuły.

P. Skiwski „spadł z księżyca“ o wiele sromotniej, niżby się to komuś zdawało. Nie wie on bowiem nawet, co dzieje się w piśmie, drukującem jego artykuły. Gniewa go tytuł: „Powrót Konrada“ w ostatniej „Gazecie Lit.“, a przecież w 1-szym numerze „Pionu“ aż się roi od „Konradów“. Niechże sobie przeczyta artykuły Skwarczyńskiego i Horzycy, gdzie zaleca się literaturze polskiej, by szła „śladami Konrada“, a potem niech przeprosi swych towarzyszy redakcyjnych, że strzelił tak piramidalne głupstwo. Bo przecież to ich właśnie dotyczą jego słowa: „że też jednego dnia w Polsce nie można wytrzymać bez cytowania Konraad“.

Wesołe nieporozumienie, nieprawdaż? Jeszcze weselsze jest to, że w artykule wstępnym „Gazety Lit.“ nie idzie wcale o „zagadnienie Konrada i Gustawa“, o „wieczną parafrazę Dziadów“, lecz o problemat „Wyzwolenia“ Wyspiańskiego, co jest tam wyrażone dostatecznie jasno, by każdy inteligentny czytelnik to zrozumiał. A Skiwski spada z księżyca, co pięć minut. Dziw, że jeszcze żyje.

Spróbujmy jednak dorozumieć się, o co właściwie Skiwskiemu chodzi w tej uporczywej kampanji przeciw „manjactwu mesjanistycznemu“. Co mu się w nas nie podoba? Może zdołamy mu to i owo wytłómaczyć, może znajdziemy choć skrawek wspólnej platformy myślenia.

Wyłuskuję pokolei — z najoczywistszą dobrą wolą — te zarzuty Skiwskiego, które są jakotako sformułowane.

P. Skiwskiemu nie podoba się przedewszystkiem nasz styl i sposób przemawiania, do czytelnika. Widzi w nim nieznośne kaznodziejstwo, poetycką frazesowość i t. p. Ha, trudno, każdy ma taki styl, na jaki go stać i nie tak łatwo pod tym względem wszystkim dogodzić. Ale czytelnik myślący przezwycięża swą niechęć do danego stylu, i gdy mu łupina nie smakuje, szuka jądra, treści, idei. Tylko ludzie żyjący emocjami i odruchami przenoszą idjosynkrazję do czyjegoś stylu i na treść jego wypowiedzi. Są tacy, których cudaczne nowotwory słowne Trentowskiego odstręczają od studjów nad tym niepospolitym myślicielem: ale to są biedni uczuciowcy, nie umiejący wyzwolić się od *zmysłowego stosunku* do wiedzy. Dobrzeby było, gdyby Skiwski nie szedł za ich przykładem i pogodził się z naszym „nieznośnym“ stylem, skoro na inny nie możemy się zdobyć — a zadał sobie trud głębszego przemyślenia problemów, poruszanych w „Zecie“.

Ale on pewnie nie zechce, bo przecież my „nie mamy nic do powiedzenia“. We wszystkich artykułach „Zetu“ nie było dotychczas nic, coby mogło wzbogacić umysł Skiwskiego. Ponieważ zaś artykuły te mają za przedmiot najgłębsze spekulacje myślowe, na jakie zdobyła się filozofja europejska, i mają w sobie cały świat pojęć rewelacyjnie nowych, — należałoby z tego wnioskować, że Skiwski jest olbrzymem ducha, tytanem wiedzy, któremu nie tylko Kant i Hegel, ale nawet Hoene-Wroński nie mają nic do powiedzenia. Takiego samopoczucia gratuluję, ale nie zazdroszczę.

Skiwskiemu nie podoba się również, że „Zet“ podaje gotowe prawdy, bez etapów zdobywania. „Wszystko lubią mieć odrazu“ — powiada. Zdaniem naszem rzecz ma się wprost przeciwnie. To polski czytelnik chce mieć wszystko odrazu, a my lubimy się trudzić. Co może wiedzieć p. Skiwski o naszych „etapach zdobywania“? Czy mam mu się może zwierzać poprzez jakie przeszkody przedzierała się moja myśl, zanim doszedłem do obecnego, skrystalizowanego już w najgłówniejszych założeniach światopoglądu? Czy mam opowiadać, jak i co studjowałem, ile przemyślałem, co wreszcie w metafizyce „biologicznie przeżyłem“ (mówiąc jego słowami, które tu określają rzecz trafnie)?

Nie gdzieindziej, lecz właśnie w „Zecie“ broni się tezy, że filozofji nie można się nauczyć, — bo trzeba ją *przeżyć*. Wyrażam jednak wątpliwość, czy p. Skiwski umiałby „biologicznie przeżywać“ problemy tej kategorji, utożsamiać się z niemi in concreto. Czy umiałby koncentrować myśl refleksyjną w najwyższem napięciu na jednem zagadnieniu „abstrakcyjnem“ przez 10 godzin z rzędu, zanim znajdzie na nie odpowiedź, zgodną z całym ukształtowanym już systemem pojęć? Czy żyje w jego umyśle paląca potrzeba jednolitego poglądu na świat, będącego jednocześnie podstawą etyczną istnienia i działania, norma życia? Czy męczył się „piekielnie“, gdy nie mógł uzgodnić z tym światopoglądem jakiegoś wyosobnionego, zjawiska, burzącego samem swem istnieniem ład i harmonję całości? Czy szukał *wspólnego kryterjum prawdy* dla wszystkich systemów filozoficznych, wszystkich religij, przemian dziejowych, sztuk i nauk, socjologji i polityki, dla tej niezmiernej, przerażająco zróżniczkowanej wszystkości świata?

P. Skiwski mówi o braku opanowania i spojrzenia z góry, o „ciskaniu się“ i t. p. rzeczach. Gdybyż wiedział, jak bardzo jestem opanowany w tej sferze, gdzie czysta myśl obcuje z prawdą. Ale on nigdy sobie nie zadał trudu uważnego przeczytania „Zetu“. Dlatego oczom jego dostępna jest tylko ta sfera, gdzie *myśl wchodzi w życie* i musi rozłamywać swą czystą, kryształową jedność na tysiąc płaszczyzn, na chwiejność niezliczonych przecięć i krzywizn. On nie zrozumie nigdy, co to znaczy: walczyć i działać, wiązać szczyty na stu placówkach naraz, udowadniać i krzyczeć, pouczać i grozić. Taki imperatyw kategoryczny nie schwycił go nigdy w swoje żelazne tryby, każąc mu zrzekać się wszystkiego, co osobiste, a nadstawiać karku za sprawy, których powagi nikt nie rozumie, nie docenia, nie widzi. Cóż wie p. Skiwski o tem wszystkiem, co wie o pełnem, szerokiem życiu, o wielkim wysiłku myśli i woli, o szamotaniu się z samobójczą biernością ludzką.

Skiwski woła o sąd nad ludźmi, którzy piszą wersalikami takie „frazesy“, jak: „wolna powinność tworzenia“ (zwrot z art. wstępnego „Gazety Lit.“); trzeba mu tedy wytłómaczyć, że pewne pojęcia *zbyt trudne* dla głów niewydyscyplinowanych w porządnem myśleniu, muszą być w jakiś sposób podkreślone, by je czytelnik zauważył. Czasem i to nie wystarcza, czego dowodzi właśnie Skiwski swojemi wydziwianiami nad tym terminem. Zwracam mu więc uwagę, *że wolna powinność tworzenia,* to jedna z najbardziej adekwatnych definicyj Absolutu; aby jednak przyswoić sobie prawdziwą treść tej definicji, trzeba wprzód „trochę poczytać“, trzeba mieć w głowie rezultaty najdoskonalszych systemów metafizycznych Europy, inaczej bowiem każda definicja tego rodzaju pozostanie pustym dźwiękiem. Chyba, że ktoś potrafi zastąpić te braki wolą i przyrodzoną przenikliwością umysłu, co w wypadku p. Skiwskiego niestety nie zachodzi.

Nowa „Gazeta Literacka“ nie podoba się Skiwskiemu. Smutne to, ale nie dla nas. Kto nie chce nic *wiedzieć i chcieć* naprawdę, krzywdzi sam siebie. Skiwski żyje jak we śnie. Coś mu się mży, majaczy, czegoś pragnie, ale nie wie sam czego. Wyraźny stosunek do rzeczywistości jest mu wstrętny i obcy. Artykuły dawnej „Gazety Lit.“ podobały mu się, bo „każdy coś mówił, dochodził do jakichś wniosków, o coś bodaj zaczepiał, budził ciekawość“. O to właśnie wam wszystkim chodzi: żeby „coś“, „gdzieś“, żeby się gadało wkoło Macieju, a bez konkluzyj i rezultatów, żeby się wszystko rozpłynęło w amorfji, w bezkształtnej, chochołowatej mazi. Dlaczego pan nie mówi wyraźnie o „co“ panu chodzi, o „jakie“ wnioski, o „jakie“ punkty zaczepienia? Słusznie mówi Witkiewicz, że polska „elita“ literacka to mętna kadź, w której pływają niedogotowane flaki.

„Piekielny galimatjas“ nie u nas panuje, lecz u was. My dążymy do ścisłości, do jednolitości ideowej, do precyzji. Nasza postawa jest postawa ludzi świadomych i zdecydowanych. Zato wasze artykuły, to „packa“ ideologiczna, „mogąca przyprawić o morską chorobę najodporniejsze organizmy“ (wyrażenie Skiwskiego).

Chcecie, żeby się żyło — ale jak? żeby się gadało — ale o czem? żeby się dyskutowało — ale w jakim celu? *Celu panowie nie macie,* i to jest wasza tragedja! Dlatego idziecie na dno, napróżno czepiając się okruchów ideologji, produkowanej przez ludzi przyszłości, ludzi w których jest Polski *zdrowie i siła!*

Kiedyś dziwiono się w „Wiadomościach Literackich“, że „Gazeta Polska“, takie porządne, „dobrze redagowane“ pismo, drukuje wciąż artykuły o jednym tylko Hoene - Wrońskim. Dlaczego taka monotonja?—pytano. Otóż to. Oni chcieliby mieć cały bukiecik (jak ktoś to słusznie określił). Jak już ma być „dział filozoficzny“, to troszkę tego, troszkę tamtego, żeby była jakaś rozmaitość, jak przystoi przyzwoitemu pismu. Do licha z „dobrze redagowanemi“, z „działami“ i rozmaitościami, z bezpłciowem estetyzowaniem i dyskusjami o niczem. Trzeba pisać i działać dla *prawdy*, a nie dla łaskotania kończyn nerwowych snobistycznej czeredy.

Dzieci, źle się bawicie — dla was to igraszka, nam idzie o życie!

J. Braun.

Wśród nowych książek

Biografję Ibsena wydał Adam Stodor w „Bibljotece Powszechnej“ Zuckerkandla. („Henryk Ibsen. Życie i twórczość“).

Ukazał się XIII tom „Studi danteschi“ (Sansoni, Florencja). W tomie tym M. Barb daje studjum racjonalizmu i mistycyzmu u Dantego, Rambaldi zajmuje się ikonografją Dantego. Dalszą literaturę o Dantem tworzą: G. B. Bosticca monografją „Del veltro allegorico attraverso il poema sacro“ (Pescia 1933), Luigi Tonelli pracą „Il canto II del Purgatorio“ (Olschki, Florencja) i F. Figurellis obszernym tomem p. t. „Il dolce stil nuovo“ (Neapol — Ricciardi).

Memorjał Lyttona w kwestji zatargu chińsko - japońskiego, ukazał się w przekładzie na język niemiecki (nakładem B. Tauchnitza w Lipsku).

Książkę poświęconą rehabilitacji Poego wydała w Paryżu Polka, S. D'Olivera Jackowska. Praca ta dokumentarycznie (na podstawie materjału korespondencyjnego, pamiętnikarskiego i t. d.) rozwiewa szereg niepochlebnych legend osnutych dookoła życia wielkiego amerykańskiego pisarza. Książka jest uzupełniona przekładem na język francuski ballad Poego. Krytyka podkreśla zgodnie bardzo piękny przekład tych utworów.

W zbiorowem wydaniu p. t. „Probleme deutscher Soziologie“, zredagowanem przez H. Sauermanna (Junker i Dünn, Berlin) prace swe ogłosili: F. Tönnies, A. Günther, G. Lehmann, A. Vierkandt, H. Sauermann, W. Malfsten Schering i G. Ipsen.

„Schlaf und Traum“, praca H. Wintersteina (Springer, Berlin) referuje rezultaty i stan obecny badań biologicznych, psychologicznych i fizjologicznych w tej dziedzinie.

Współczesną lirykę słowacką jako lekturę dla młodzieży szkolnej wydała Matica Slovenská w Turcz. Sv. Martinie. Tytuł antologji „Vybor zo sucżasnej liryky“.

Młodzi kroatcy poeci wydali ostatnio szereg nowych tomów. Między innymi ogłosili: M. Rukavina „Labudova pjesma“, R. Žilić „Kroz glavnu ulicu“, Mirko Jirsac „Lice za oknem“ i G. Karlovczan „Srcce nad ravnicom“.

Od dłuższego czasu zapowiadanej obszernej pracy o Heglu p. t.: „Hegel und Slaven“ ukazał się pierwszy tom. Jest to wydawnictwo Niemieckiego Towarzystwa dla badań słowiańskich w Pradze. Tom pierwszy zawiera: Czyżewskiego — „Hegel in Russland“, Waltera Kühna — „Die Polen und die Philosophie Hegels“, F. Fajfra — „Hegel bei den Tschechen“, A. Prażaka — „Hegel bei den Slovaken“ i Kseni Anastasijević — „Hegel bei den Jugoslaven“.

Polska monografja Smetany, znanego czeskiego kompozytora ukazała się nakładem F. Grąbczewskiego. Autorem jej jest Fr. Brzeziński. Jest to książka przeznaczona dla szerokich warstw czytelniczych.

Pracę o stosunkach czesko - rosyjskich wydał Józef Jirasek (Vesmir, Praha). Część pierwsza nosiła tytuł „Rusko a my“, część druga (która się właśnie ukazała) „Czesi, Slovaci a Rusko“. Ostatnia praca obejmuje okres historji od r. 1867 do czasu wielkiej wojny.

Niemcy wydają teraz mnóstwo książek poświęconych bądź przewrotowi, jaki się u nich dokonał, bądź samemu Hitlerowi. Oto kilka z nich: Otto Dietrich: „Mit Hitler in die Macht. Persönnliche Erlebnisse mit meinem Führer“. (Monachjum) — jest to naturalnie bezkrytyczna apologja Hitlera; dalej książka W. Müllera „Der Führer“ — szereg rozważań na temat „zagadnienia wodza“; następnie rozważania na temat „Vom Zweiten zum Dritten Reich“ Karola Drücka przepojone fanatyczną nienawiścią do marksizmu; wreszcie książka Fryderyka Schinkela „Prusischer Sozialismus“ dowodząca, że ruch hitlerowski wypływa zarówno z wielkiej pruskiej myśli politycznej (Fryderyk Wielki) jak z niemieckiej myśli filozoficznej (Fichte, Hegel).

REDAKCJA: (tymczasowo) Jerzy Braun, Krosno, Rafinerja nafty (Małopolska). Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 68 m. 37 Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210
Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Warszawa, Solec 87.